



Barbara Cartland
Droga ku szczęściu

Karma of Love



Rozdział pierwszy

ROK 1885

Proszę bardzo, możesz iść, dokąd chcesz, ale nie wracaj tu więcej! Obrzydła mi już twoja nadęta mina i wyniosłość, jakbyś była nie wiadomo kim! Jesteś nikim! Rozumiesz?! Nikim!! Zobaczymy, czy potrafisz poradzić sobie bez pieniędzy i bez mojej opieki! A jeżeli zamarzniesz gdzieś na śmierć, tym lepiej!

Mówiąc to, hrabina Lyndale, otyła, potężna kobieta o czerwonej twarzy, wypchnęła Orissę za drzwi z taką siłą, że dziewczyna potknęła się o próg i upadła na ośnieżony chodnik. Drzwi zatrzęsły się z hukiem.

Lady Orissa Fane leżała przez moment na ziemi, próbując otrząsnąć się z oszołomienia. Ramię, na którym jeszcze przed chwilą zaciskała się potężna dłoń jej macochy, pulsowało boleśnie. Hrabina wlokła Orissę za sobą przez olbrzymi salon, długi hol, aż do drzwi frontowych, za które w końcu z furją dziewczynę wyrzuciła. Orissa nie próbowała nawet stawiać oporu, wiedząc z doświadczenia, że nie ma sensu sprzeciwiać się macosze, kiedy ta była pijana. Do tej pory jednak hrabina nigdy nie zrealizowała swoich pogroźek. Orissie zwykle udawało się wymknąć z salonu i uciec do pokoju na piętrze, gdzie była bezpieczna - hrabina w stanie odurzenia alkoholowego nie mogła wspiąć się po schodach.

Ta awantura, podobnie jak inne, zaczęła się bez powodu.

Hrabina nienawidziła swojej pasierbicy i regularnie oskarżała dziewczynę, że patrzy na nią z góry. Sama była niskiego stanu. Wdowa po nic nie znaczącym urzędniku państwowym z angielskiej służby cywilnej w Indiach, dzięki swemu sprytowi i sile woli pochwyliła w sidła ojca Orissy, hrabiego Lyndale. Wówczas jeszcze jako uwodzicielska, przystojna pani Smithson, potrafiła zawrócić w głowie osamotnionemu i załamanemu śmiercią żony hrabiemu, który mało znał się na kobietach. Wkradła się w jego łaski tak szybko, że po upływie trzech miesięcy od ich wspólnego powrotu z Indii do Anglii wyszła za niego za męża, zostając hrabiną Lyndale.

Od tej chwili Orissa często zastanawiała się, czy gdyby towarzyszyła ojcu w tamtej podróży, potrafiłaby ustrzec go przed tym, co okazało się katastrofą nie tylko dla niego samego, lecz również dla Orissy. Z biegiem czasu dziewczyna doszła jednak do wniosku, że macocha posiada tak ogromną siłę woli i upór, iż nikt i nic nie powstrzymałoby jej od zrealizowania zamierzeń.

- Gdyby ojciec mógł zostać w pułku dłużej, może wszystko potoczyłoby się inaczej! - wzdychała często Orissa w rozmowach z bratem, wicehrabią Karolem DiUinghamem. On także służył w pułku stacjonującym w Indiach.

Niestety, ojciec Orissy musiał wrócić do Anglii, by przejąć po swoim zmarłym bracie tytuł i resztki majątku rodzinnego, z którego większość przepadła. Macocha Orissy i Karola była rozczarowana, gdy dowiedziała się, że wychodząc za ich ojca, zdobyła jedynie tytuł hrabiny Lyndale. To nie rekompensowało jej nędznych warunków życia i braku służących, postanowiła więc zrobić użytek ze swej pasierbicy. Od tej pory życie stało się dla jedenastoletniej dziewczynki koszmarem. Hrabina zaczęła traktować ją jak niewolnicę, a Orissa zmuszona była wykonywać wszystkie jej polecenia.

Hrabina lubiła często zaglądać do kieliszka i to ona wciągnęła w nałóg ojca Orissy. Wmówiła mu, że najlepszym lekarstwem na wszelkie zmartwienia jest alkohol. Wkrótce razem zaczęli topić smutki w morzu trunków. Nic dziwnego, że żaden przyzwoity służący czy służąca nie zagrzewali miejsca w domu hrabiego na dłużej. Również nieliczni przyjaciele hrabiego w Anglii z czasem zaniechali kontaktów z nim.

Orissa została w ten sposób pozbawiona towarzystwa swych rówieśniczek z lepszych domów i skazana całkowicie na łaskę macochy. Gdyby nie jej brat, wicehrabia Dillingham, być może nie zdobyłaby żadnego wykształcenia. To on nalegał na to, by Orissa zaczęła uczęszczać do szkoły dla panienek z dobrych domów, która znajdowała się niedaleko. Tam dziewczyna znalazła schronienie przed okrucieństwem macochy i nauczyła się więcej, niż oczekiwała.

W szkole Orissa odkryła, że może zdobywać i poszerzać swoją wiedzę sama. Wiele czasu spędzała w bibliotece, interesując się szczególnie geografiami i historią. Na szczęście wuj dziewczyny, pułkownik Henry Hobart, przez przypadek podarował jej jako prezent gwiazdkowy roczny abonament biblioteki publicznej, skąd mogła pożyczać książki niedostępne w szkole. Radość Orissy była tak wielka, że Henry Hobart zobowiązał się co rok opłacać jej kolejne abonamenty, nie wiedząc nawet, iż tym samym ratuje dziewczynę przed zupełnym załamaniem i utratą chęci do życia.

Z biegiem lat Orissa przestała być kruchym, delikatnym dzieckiem i zaczęła stawać się atrakcyjną, a nawet piękną, młodą kobietą. To zrodziło w hrabinie niepohamowaną zazdrość, która wzmogła jej okrucieństwo wobec dziewczyny. Była świadoma, że wiek i nadużywanie alkoholu pozbawiły ją resztek urody i nie mogła znieść w swoim domu widoku młodej, ładnej Orissy.

Wstając teraz z ziemi, Orissa uświadomiła sobie, że nienawiść macochy prędzej czy później musiała wybuchnąć.

Strzepnęła śnieg z sukni i poczuła, że przebiegł ją dreszcz. Było zimno. Nie miała na sobie nic poza wieczorową cienką suknią. Spojrzała na zamknięte, zniszczone drzwi frontowe i zastanowiła się, co powinna zrobić. Stukanie było bezcelowe. Jediną osobą, która mogła ją usłyszeć, była hrabina. Służący prawdopodobnie spali już w swoich pokojach. Nawet gdyby usłyszeli wołanie Orissy, z pewnością nie zaryzykowałiby zejścia i otworzenia jej drzwi, obawiając się gniewu hrabiny.

- To oznacza, że muszę szukać noclegu gdzie indziej - szepnęła do siebie zrezygnowana Orissa.

Właśnie przejeżdżała dorożka i dziewczyna pod wpływem nagłego impulsu uniosła rękę i zatrzymała pojazd. Woźnica przyjrzał się Orissie z niechęcią. Damy nie miały zwyczaju same spacerować w wieczorowych sukniach w chłodną zimową noc.

- Dokąd jedziemy? - zapytał po chwili gburowato, a jego twarz wyrażała lekceważenie.

- Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan zawieźć mnie pod dwudziesty pierwszy numer przy Queen Anne Street.

Kulturalne słowa i uprzejmy ton Orissy przekonały woźnicę, że nie ma do czynienia z kobietą lekkich obyczajów. Zamierzał zejść i otworzyć drzwiczki powozu, ale zanim to uczynił, Orissa sama wskoczyła do środka i usadowiła się na miękkim siedzeniu, szczęśliwa, że może schronić się przed przenikliwym zimnem. Była świadoma, że dreszcze przebiegają jej ciało nie tylko z powodu chłodu. Wspomnienie zachowania macochy wstrząsało nią za każdym razem jeszcze silniej.

Westchnęła głęboko, próbując się odprężyć, i pomyślała, że Karol nie będzie zachwycony jej niespodziewaną nocną wizytą. Nie miała jednak wyboru. Brat powrócił z Indii zaledwie tydzień wcześniej i widziała się z nim tylko raz od tamtej chwili. Był wówczas tak zajęty swoimi sprawami, że nie miała okazji poskarżyć mu się na swój los.

Wicehrabia Karol Dillingham powrócił do Anglii z Indii jedynie po to, by wkrótce znów wyruszyć z brytyjskim korpusem ekspedycyjnym do Egiptu, a następnie do Sudanu, gdzie nadal trwała rebelia.

Razem z innymi wojskowymi miał walczyć pod dowództwem lorda Wolseleya. Przechodzili teraz szkolenie i zakwaterowani byli w koszarach przy Queen Anne Street.

„Muszą tam być wyłącznie kawalerskie pokoje” - pomyślała teraz Orissa. „Może wcale nie wolno tam wchodzić kobietom”.

Z rozpaczą uchwyciła się jednak nadziei, że może przynajmniej będzie jej wolno przekazać bratu wiadomość, oczywiście pod warunkiem, że nie wyszedł gdzieś z kolegami, żeby się rozerwać.

Dorożka zatrzymała się w końcu na Queen Anne Street.

Orissa wbiegła po schodach pod drzwi wejściowe i zapukała niepewnie.

Drzwi otworzyły się niespodziewanie szybko. Umundurowany żołnierz bez słowa wpuścił ją do małego holu, po czym usiadł za biurkiem i dopiero gdy spojrzał na Orisę, na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Korzystając z jego zaskoczenia, Orissa wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Chciałabym widzieć się z wicehrabią Dillinghamem!

- Drugie piętro, tabliczka z nazwiskiem jest na drzwiach, proszę pani - odrzekł żołnierz jak zahipnotyzowany.

- Dziękuję - odparła i ruszyła prędko w stronę stromych schodów.

Kiedy znalazła się zdyszana na drugim piętrze i skręciła pospiesznie w korytarz, niemal zderzyła się z jakimś mężczyzną zmierzającym w stronę schodów. Zatrzymała się na moment oszołomiona. Mężczyzna był wysoki, dobrze zbudowany i schludnie ubrany w niebieski mundur z czerwonymi wyłogami. Wydawał się nieco zdziwiony obecnością kobiety w koszarach o tej porze. Przez kilka sekund przeszywał Orisę oczami tak przenikliwie, że pomyślała, iż w innych okolicznościach czułaby się obrażona tak nietaktownym zachowaniem.

Zmieszana, szybko odwróciła głowę i wyminawszy mężczyznę, ruszyła korytarzem, wypatrując tabliczki z nazwiskiem brata. Wciąż jednak miała w pamięci stalowe oczy wpatrujące się w nią uporczywie i opaloną, inteligentną, pociągłą twarz nieznanego. Dopóki nie zniknęła za kolejnym zakrętem, czuła, że podąża za nią wzrokiem.

Za rogiem korytarz kończył się nagle, a na ostatnich drzwiach widniała tabliczka: „Wicehrabia, kapitan Karol Dillingham”. Orissa zapukała cicho. Nie było odpowiedzi, więc nacisnęła klamkę. Przekroczyła próg i znalazła się w małym, wąskim przedpokoju.

- Karolu! - zawołała, lecz z jej gardła wydobył się ledwo słyszalny dźwięk. Trzęsła się cała z zimna i przejęcia.

- Kto tam? - usłyszała nagle głos brata. Chwilę później pojawił się Karol Dillingham.

Miał na sobie tylko spodnie i koszulę.

- Orissa! - wykrzyknął. - Co tu robisz?!

- Potrzebuję twojej pomocy - odparła. - Ona... wyrzuciła mnie z domu. Nie mam gdzie się podziąć...

Karol bez trudu domyślił się, kim była owa „ona”.

- Niech to! - wykrzyknął ze złością. - Tego już za wiele! Dlaczego jej na to pozwoliłaś?!

- A jak mogłam ją powstrzymać?! Karol spostrzegł, że Orissa drży z zimna.

- Wejdz. Usiądź koło kominka - pociągnął ją za rękę. - Nie powinnaś tu przychodzić!

- Więc gdzie mam szukać pomocy? - zapytała i usiadła z ulgą na krześle stojącym blisko ognia.

- Czy ona rzeczywiście wyrzuciła cię na ulicę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Była wściekła! - odrzekła Orissa. - Gdyby nie moje gęste włosy, miałabym od jej razów szramy na głowie.

Mówiąc to, Orissa uśmiechnęła się nieznacznie, jakby ciepło kominka i obecność brata dodały jej otuchy i poprawiły nieco humor. Całe zajście z macochą wydało jej się nagle bardziej zabawne niż tragiczne.

- Zlituj się! - wykrzyknął Karol. - I ty mówisz o tym tak bez troski?! Nie pojmuję, jak nasz poczciwy ojciec mógł związać się z tą potworną kobietą?

- Odkąd umarła nasza matka, nieraz zadawałam sobie to pytanie...

Orissa zamilkła, czując, że głos się jej załamuje.

- To musi się w końcu zmienić! - Karol usiadł obok Orissy, przysuwając sobie krzesło.

- Dobrze, że wróciłeś do Londynu. Co bym zrobiła bez ciebie?

- Jednak nie powinnaś była tu przychodzić - powtórzył stanowczo. - Mam nadzieję, że nikt nie widział cię na korytarzu.

Orissa zawahała się i w końcu wyznała:

- Niestety, natknęłam się przy schodach na jakiegoś mężczyznę z niezwykle przenikliwymi oczami. Przyglądał mi się natrętnie... Mógł się zorientować, do kogo przyszłam...

- Do diabła! - wyrwało się Karolowi. - Nie mogłaś trafić gorzej! To musiał być Meredith!

- Przykro mi... - szepnęła. - Ale czy rzeczywiście moja tu obecność jest dla ciebie aż tak kłopotliwa?

- Owszem - odrzekł.

- Dlaczego? Kim jest ten mężczyzna?

- To nasz czcigodny major Myron Meredith - poinformował ją Karol. - Tak się składa, że jestem na jego czarnej liście.

- Dlaczego? - zaciekała się. - I czy musisz tak się z nim Uczyć?
- Muszę, ponieważ to nie jest zwykły major - odparł. - On jest czymś w rodzaju wtyczki służb specjalnych, znaczącą figurą w wywiadzie brytyjskim na terenie Indii.

- Ale dlaczego znalazłeś się na jego czarnej liście? - powtórzyła pytanie niemal ze strachem.

- Wplątałem się w pewne kłopoty - przyznał niechętnie.

- Jakie?

- Jesteś zbyt wścibska - odrzekł szybko Karol i zaraz się roześmiał. - Tak czy inaczej mogę cię zapewnić, że była piękna, pociągająca i warta zachodu.

- A więc to kobieta?

- A któż inny mógłby sprawiać kłopoty mężczyźnie? - zdziwił się.

- Ale co obchodzą majora Mereditha twoje sprawy osobiste?

- Tak się składa, że ta piękność, dla której mu się naraziłem, jest żoną jednego z moich towarzyszy broni i, jak to stwierdził Meredith, w ten sposób „splamiłem dobre imię pułku”.

- Czy major Meredith jest w twoim pułku? - zapytała.

- Na szczęście nie! - odrzekł. - Meredith jest przydzielony do Bengalskich Lansjerów, ale zawsze przebywa w kwaterze głównej sztabu. Gdziekolwiek się pojawi, zawsze ląduje w kwaterze dowódców. Szczerze mówiąc chciałbym, żeby nigdy nie pojawił się u nas. Wszędzie wtyka swój nos.

- W twoje sprawy również?

- Och, to był przypadek. Myślałem, że nikt się nie dowie o tej mojej niewielkiej eskapadzie, ale Meredith jest wszędzie tam, gdzie go nie trzeba!

Wspomnienie zderzenia z majorem Meredithem było tak silne, że Orissa bez wahania uwierzyła w słowa brata.

- Nienawidzę go! - powiedział ze złością Karol. - Jestem przekonany, że to z powodu jego wścibstwa Gerald Dewar zastrzelił się!

Orissa drgnęła.

- Dlaczego?

- Sam chciałbym wiedzieć! - Karol z trudem opanował wściekłość. - Gerald był moim najlepszym przyjacielem. Poczciwy, sympatyczny chłop. Uwielbiał kobiety, a ta ostatnia była diabelnie piękna.

- Czy major Meredith miał coś przeciw jego związkowi z nią? - dopytywała się Orissa.

- Nie wiem - odrzekł. - Fakt jednak pozostaje faktem: Meredith był tam, gdy to się stało. Jestem pewien, że to nie był nieszczęśliwy wypadek, jak nam

powiedziano, ale samobójstwo. Zresztą nie tylko ja tak sędzę. Większość z nas jest przekonana, że Gerald sam się zabił.

- A dlaczego major Meredith miałby coś przeciw moim odwiedzinom u ciebie? - zainteresowała się Orissa.

- Choćby dlatego, że zobowiązałem się przed nim nie utrzymywać kontaktów ze słabą płcią, dopóki nie opuścimy Londynu. - Karol uśmiechnął się i dodał: - Oczywiście głównie na terenie koszarów.

- Przecież możesz mu powiedzieć, kim jestem.

- Nie mogę! - odrzekł Karol W jego głosie pojawiła się złość. - Musiałbym mu wyjaśnić, że moja siostra została wyrzucona z domu na ulicę w środku nocy i nie ma dokąd pójść. I niech mnie diabli, jeśli wyjawię komukolwiek, w jakim stanie jest teraz mój ojciec! Budził u wszystkich tak wielki respekt, gdy był dowódcą pułku, tego pułku, z którym nasza rodzina związana jest od pokoleń. Nie chcesz chyba, żeby się to zmieniło?

- Nie... - szepnęła. - Wolę, żeby wszyscy pamiętali ojca takim, jakim był przed ośmiu laty.

- Dlatego - ciągnął Karol - Meredith może myśleć sobie o twojej wizycie co zechce! W końcu nie ma nic złego ani niezwykłego w tym, że lubię towarzystwo kobiet i nic nie poradzę na to, że same lgną do mnie, przychodząc tu nawet nocą. Czy byłoby po rycersku wypraszać je za drzwi o tej porze?

- Z pewnością nie! - przyznała Orissa i oboje się roześmieli.

Karol miał pogodną i żywą naturę. Był lekkomyślny i nieodpowiedzialny, ale pełen uroku. Nie umiał i nie chciał się pogodzić z monotonią życia i szukał wciąż nowych doznań. Był przystojnym blondynem o kręconych włosach i błękitnych oczach, zdobywającym bez trudu serca kobiet.

Orissa była młodsza od brata o sześć lat i zupełnie do niego niepodobna. Miała czarne, gęste włosy o niemal granatowym odcieniu, które kontrastowały z jej śnieżnobiałą cerą. Była drobna i smukła. Miała w sobie coś wyniosłego i ujmującego zarazem. Jej ogromne oczy wydawały się nieprzeniknione jak noc, a kiedy wpadała w gniew lub zachwyty, błyskały w nich tajemnicze, purpurowe ognie.

Przyglądając się teraz siostrze, Karol pomyślał, że jest niezwykle piękna.

- Co mam z tobą począć, Orisso? - uśmiechnął się i spoważniał zaraz.

- Żeby chociaż wuj Henry był w Anglii! - westchnęła Orissa.

- Wuj Henry! - wykrzyknął nagle Karol. - Oto rozwiązanie twojego problemu, Orisso!

- To znaczy?

- Musisz do niego pojechać! Jest starym kawalerem i z pewnością powita cię z otwartymi ramionami!

- Miałabym pojechać do Indii? - zapytała niedowierzająco.

- Oczywiście!

Na twarzy Orissy rozbliła radość.

- Sądzisz, że wuj Henry rzeczywiście zgodziłby się, żebym z nim mieszkała?

- O tym nie pomyślałem - przyznał Karol. - Ale nie widzę powodu, dla którego miałby się nie zgodzić. W końcu kobieta w domu samotnego mężczyzny jest zawsze mile widziana. Poza tym jesteś jego ulubienicą. Gdy przebywałem w Indiach, wciąż wypytywał, czy mam od ciebie jakieś wiadomości. Nie będziesz dla niego ciężarem. Pomożesz mu w prowadzeniu domu.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo chciałabym powrócić do Indii! - szepnęła drżącym głosem Orissa. - Co noc wspominam ten kraj mojego szczęśliwego dzieciństwa. Tylko tam miałam prawdziwy dom, ojca i matkę... i... byłem najszczęśliwszą, dopóki mama...

- Wobec tego postanowione! - przerwał jej Karol. - Jedziesz do wuja Henry'ego! Tylko zaraz... gdzie on ostatnio przebywał w Indiach? Chyba w Delhi.

- Trzeba go jednak najpierw uprzedzić o moim przyjeździe - powiedziała z błyskiem nadziei w oczach. - A zanim wuj nam odpisze, minie kilka dni. Gdzie się podzieję w tym czasie?

Karol nie odpowiedział, zastanawiając się nad czymś. W końcu uśmiechnął się rozpromieniony i oznajmił, jakby nie słyszał pytania Orissy:

- Mam pomysł!

- Jaki?

- Przyznam ci się, że właśnie uświadomiłem sobie, iż nie stać mnie na opłacenie twojej podróży do Indii. Jestem koszmarnie zadłużony...

- Piękne kobiety muszą być kosztowne... - zauważyła uszczypliwie Orissa.

- To prawda... - uśmiechnął się. - Ostatecznie mógłbym gdzieś pożyczyć pieniądze na twoją podróż, ale nie byłoby to łatwe i trochę by trwało... Mam jednak inny pomysł.

- Jaki? - zniecierpliwiła się.

- Kiedy dzisiaj rano zajrzałem do naszego sztabu, zastałem tam generała Artura Critchleya. Generał jest naczelnym dowódcą naszych oddziałów w Bombaju i przyjechał do Londynu na kilka tygodni.

Orissa z uwagą śledziła twarz brata, który ciągnął:

Przypadkiem słyszałem, jak generał pytał adiutanta, czy zna jakiegoś wojskowego, którego żona będzie w najbliższym czasie płynąć do Indii na „Dorundzie”. Adiutant nie znał nikogo takiego. Wówczas generał wyjaśnił, że zależy mu na znalezieniu opiekunki dla wnuka, którego zamierza wysłać do Indii tym statkiem. Kuzynka, która podjęła się opieki nad dzieckiem, nieoczekiwanie uległa wypadkowi i musiała zrezygnować z podróży. Żona generała zaś sama nie może zapewnić wnukowi należytej opieki podczas podróży.

- Do wypłynięcia »Dorundy« nie zostało już dużo czasu - zauważył na koniec generał.

- To prawda, sir - przyznał adiutant.

- Mam więc do pana prośbę - zwrócił się do niego generał. - Proszę zorientować się, czy zamierza płynąć tym statkiem jakaś samotna dama, która zechciałaby się zająć moim wnukiem podczas podróży w zamian za opłacenie jej biletu pierwszej klasy. Oczywiście tylko w jedną stronę!

- Zrobię to z przyjemnością, sir! - zapewnił go adiutant...

Karol zamilkł i spojrzął z błyskiem w oku na Orissę, która nie wytrzymała i wykrzyknęła radośnie:

- Więc to ja mam być tą opiekunką?! Zaraz jednak zapytała niepewnie:

- A jeżeli adiutant już kogoś znalazł?

- Nie znalazł! - stwierdził stanowczo Karol.

- Skąd wiesz?

Karol błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- Adiutant poprosił mnie, żebym odszukał Hughesa, świeżo upieczonego porucznika, i przekazał mu, że ma obejrzeć listę pasażerów, którzy zarezerwowali miejsca na „Dorundzie” i nie wykupili jeszcze biletów, a ja całkiem zapomniałem o Hughesie w ferworze moich własnych zajęć...

- Och, Karolu! - wykrzyknęła Orissa. - Oto cały ty! Jak zwykle nieodpowiedzialny!

- Nieprawda! - uśmiechnął się skromnie. - To było po prostu cudowne zrządzenie losu!

- Chyba tak! - zgodziła się Orissa. - Tylko jako kogo zamierzasz przedstawić mnie generałowej?

Karol zamyślił się na moment.

- Niestety, znam dobrze Lady Critchley... - odezwał się w końcu. - Nie będzie zachwycona, jeżeli dzieckiem zajmie się młoda, niezamężna kobieta. Pamiętam, że w Bombaju zawsze narzekała na młode opiekunki do dzieci.

Twierdziła, że kręcą się wciąż wokół oficerów i przyjeżdżają do Indii jedynie po to, by wyjść za męża...

Orissa wydawała się rozczarowana.

- Wiec pewnie nie zechce, żebym zajęła się jej wnukiem...

- Zechce, jeśli będzie przekonana, że jesteś mężatką! - uśmiechnął się figlarnie Karol.

Orissa spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Mam udawać, że jestem zamężną kobietą?!

- A dlaczego by nie? - zdziwił się. - Tylko pomyśl, jeżeli przedstawiś się jako mężatka, nikt nie będzie się dziwił, że podróżujesz tak daleko sama, bez przyzwotki. Poza tym zamężna kobieta wzbudza większe zaufanie i cieszy się większym szacunkiem.

- Och, Karolu! - szepnęła rozpromieniona Orissa. - Jesteś niezrównany!

- Zawsze tak twierdziłem - uśmiechnął się - ale mało kto mnie docenia. Musimy postarać ci się o męża, nowe nazwisko i obrączkę.

- Zawsze noszę przy sobie obrączkę mamy.

- To wspaniale! - ucieszył się. - Twoim mężem będzie zaś ktoś, kto pracuje dla Kompanii Wschodnioindyjskiej. To ogromna firma, w której nazwisko Brown czy Smith nosi chyba co trzeci pracownik...

- Będę... będę panią Lane! To brzmi bardziej szlachetnie - zdecydowała.

- Niech będzie. - Karol uśmiechnął się i ciągnął dalej: - Jutro rano zawiadomię adiutanta, że znalazłem odpowiednią kobietę na opiekunkę dla wnuka lady Critchley. Spotkasz się z nią dopiero na statku. „Dorunda” odpływa pojutrze.

- Już pojutrze? - w głosie Orissy zabrzmiała radość.

- Tak. Nie ma zatem czasu na zawiadomienie wuja. - Karol uśmiechnął się, widząc szczęśliwą twarz siostry. - Adiutant powinien niezwłocznie zawiadomić generała o znalezieniu nowej opiekunki, a ten załatwi ci bez trudu na statku kabinę pierwszej klasy i wszystkie inne formalności. Nie będziesz więc musiała się o nic martwić.

- Och, Karolu, to brzmi zbyt pięknie, żeby mogło być prawdą! - wykrzyknęła Orissa.

- Mam nadzieję, że wszystko się uda i dopłyniesz szczęśliwie do Bombaju - kontynuował Karol. - Opłacę ci oczywiście przejazd z Londynu do portu, a kiedy znajdziesz się na statku, twoje problemy znikną.

- Ale... będę musiała mieć jeszcze jakieś pieniądze przy sobie... - zauważyła nieśmiało Orissa. - Choćby na bilet na pociąg z Bombaju do Delhi. Nie sądzisz chyba, że generał opłaci mi również tę podróż...

- Nie wyda na ciebie ani grosza więcej niż to konieczne - zapewnił Karol - Oddam ci wszystko to, co uda mi się pożyczyć, ale na razie nic nie mogę obiecać.

- Przykro mi, że sprawiam ci kłopot - szepnęła skruszona.

- To ja cię przepraszam... - odrzekł. - Czuję się winny, że nie zainteresowałem się wcześniej twoim losem, wówczas, kiedy był na to czas.

- Nie martw się! - uśmiechnęła się Orissa. - Powrót do Indii wynagrodzi mi wszystko, co wycierpiałam przez osiem lat pobytu w Londynie.

Patrząc na twarz siostry, rozpromienioną w świetle płonącego kominka, Karol zdumiał się, jak wielkiej Orissa uległa przemianie. Nie widział jej przez dwa lata i teraz wydało mu się dziwne, że nie jest już płochliwą, filigranową dziewczynką, lecz młodą, piękną i odważną kobietą. Był tym odkryciem zdumiony i co pewien czas podczas ich rozmowy milkł zapatrzony w niezwykłą urodę siostry.

- Czy wiesz, Orisso, że coraz bardziej przypominasz księżniczkę Radżput z hinduskich legend?

- Nie mogłeś powiedzieć mi większego komplementu - odparła rozbawiona.

Karol roześmiał się.

- Wkrótce doczekasz się ich pewnie więcej i to nie tylko ode mnie - zauważył i dodał poważnie: - Cieszę się, że jesteś szczęśliwa wyjeżdżając do Indii. Kiedy znajdziesz się pod opieką wuja, będę mógł ze spokojnym sumieniem wyruszyć do Egiptu.

- Och, Karolu, Karolu! - westchnęła radośnie Orissa. - Nie wiem, jak ci dziękować za twoją pomoc! Kiedy tu jechałam, wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz.

- Mam nadzieję, że ty też mnie nie zawiedziesz - powiedział brat. - Pamiętaj, że rolę mężatki musisz odegrać znakomicie! Jeżeli generał lub generałowa odkryją prawdę, moim kłopotom nie będzie końca!

- A jeżeli kiedyś odwiedzę Bombaj z wujem Henrym i spotkam tam generała?

- To mało prawdopodobne. Wuj nie lubi opuszczać swoich żołnierzy na północy Indii, ale jeśli już znajdziesz się w Bombaju, unikaj spotkania z generałem i jego żoną jak ognia!

- Postaram się...

- I proszę postaraj się też nie przysparzać mi więcej kłopotów, gdziekolwiek będziesz! Mam ich dość bez ciebie! A teraz... zastanówmy się, gdzie spędzisz resztę tej nocy?!

- Zawieziesz mnie do jakiegoś hotelu - zasugerowała.
- Myślisz, że w przyzwoitym hotelu przenocują pannę niemal w negliżu, bez bagażu, która zjawi się tam z młodym wojskowym o pierwszej w nocy?
Orissa uśmiechnęła się niewinnie.
- W takim razie muszę zostać u ciebie...
- Niestety tak! Oby tylko Meredith nie wpadł tu nad ranem! Nie mam ochoty wyjaśniać kim jesteś i po co przyszedłeś.
- Ani ja! - westchnęła głośno.
- Pamiętaj Orisso, musisz być bardzo ostrożna. Cokolwiek będziesz mówić i robić na statku - ostrzegł ją Karol. - A kiedy już znajdziesz się w Bombaju, masz zniknąć bez śladu!
- Przyrzekam ci to! - obiecała solennie. - I... Karolu... ty również uważaj na siebie. Jesteś najcudowniejszym bratem na ziemi i nie chcę cię stracić!
- Nie martw się o mnie, zawsze wiem, co robię! - odrzekł wicehrabia Karol Dillingham z nutą dumy w głosie.

Rozdział drugi

Orissa poruszała się cicho po kabinie, tak aby nie zbudzić śpiącego dziecka. Chłopiec był wyczerpany jazdą do portu w Tilbury i podniecony podróżą statkiem.

Orissa przezornie wyjechała do portu wcześniejszym pociągiem, chcąc uniknąć spotkania z generałem i jego żoną na stacji. Karol oczywiście nie mógł odprowadzić jej na peron, bojąc się, że natknie się tam na kogoś ze swoich znajomych.

- Uważaj na siebie! - upomniał siostrę, żegnając się z nią w powozie stojącym przed dworcem.

Orissa się roześmiała.

- Zapominasz, że jestem teraz doświadczoną mężatką i sama potrafię zadbać o siebie.

Powiedziawszy to, ucałowała brata i wyskoczyła z powozu. Czowała się radosna jak wiosenny poranek. Oto nareszcie rzeczywiście zaczynała się jej podróż do Indii, droga ku szczęściu! Momentami wydawało jej się to nieprawdopodobne.

Wczesnym rankiem poprzedniego dnia w koszarowym mieszkaniu Karola zjawił się jego służący. Był nieco zaskoczony, ujrawszy Orissę siedzącą na sofie w małym salonie kapitana Dillinghama.

- To moja siostra, Dawkins - wyjaśnił mu Karol. - Chciałbym, żeby wyszła stąd niepostrzeżenie.

- Nie będzie z tym problemu, sir. Pani może wyjść bezpiecznie tylnym wyjściem z budynku - odrzekł służący, przyglądając się wieczorowej sukni Orissy, po czym dodał nieśmiało: - Tylko że dzisiaj jest bardzo zimno, sir.

- W co cię ubrać, Orisso?! - Karol z rozpaczą zwrócił się do siostry.

Orissa rozejrzała się bezradnie po pokoju. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, służący rozwiązał problem za nich, zdejmując jedną z pluszowych, wąskich zasłon z okna. Po ściągnięciu z niej mosiężnych kółek, Orissa zarzuciła sobie zasłonę na ramiona jak obszerny, długi płaszcz.

- Niestety, proszę pani - zauważył Dawkins, przyglądając się z satysfakcją nowemu ubiorowi Orissy - zasłona będzie musiała wrócić do koszar, nie wolno mi dysponować państwową własnością.

- Oczywiście! - uśmiechnęła się Orissa. - Dziękuję za pomoc.

Służący wyszedł, by sprowadzić powóz, a Karol wyjaśnił Orissie, jak trafić do tylnego wyjścia z koszar.

Orissa zaczęła ostrożnie i powoli schodzić po stromych stopniach, trzymając się kurczowo poręczy. Kiedy dotarła szczęśliwie do pierwszego piętra, usłyszała nagle dźwięk otwieranych drzwi, zza których wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Orissa instynktownie znieruchomiała, zamarłym sercem wyczuwając, że musi to być major Meredith. Było za późno, żeby się cofnąć. Jedyne co jej pozostało, to zbiec szybko na parter, by major nie zdążył jej rozpoznać. Zanim to uczyniła, mimo woli zerknęła na mężczyznę. Nawet w słabym świetle padającym na jego twarz z otwartych drzwi pokoju, z którego wyszedł, mogła wyraźnie dostrzec wyraz pogardy w oczach majora Mereditha.

Ryzykując karkołomnym upadkiem, pognąła w dół schodów z szybkością i odwagą, które zadziwiły ją samą. Na szczęście w małym holu na parterze nikt nie siedział przy biurku. Orissa westchnęła z ulgą, po czym pobiegła długim korytarzem w lewo, by wkrótce znaleźć się w wygodnym powozie stojącym na ulicy.

Nie wspominała Karolowi o tym nieoczekiwanym spotkaniu z majorem Meredithem. Nie chciała denerwować brata i wprawiać go w zły humor na dzień przed ich rozstaniem. Karol obiecał, że zajrzy do domu, by poinformować Orissę o tym, jak mają się sprawy, ale zamiast tego posłał jedynie kartkę z wiadomością, że wszystko przebiega pomyślnie. „Lady Critchley - pisał - jest uradowana faktem, iż pani Lane zgodziła się zająć jej wnukiem podczas podróży do Indii!”

Karol zjawił się u Orissy dopiero następnego dnia. W holu stały już spakowane jej rzeczy. Orissa poprzedniego dnia poinformowała ojca i macochę o swoim wyjeździe. Gdy wróciła do domu, hrabina wydawała się zaskoczona i speszona, jakby czuła, że tym razem posunęła się za daleko, wyrzucając pasierbicę za drzwi. Ani ona, ani ojciec Orissy nie poruszyli tematu nieobecności dziewczyny w domu przez całą noc. Mimo to gdy hrabina ujrzała Karola, zwróciła się do niego z wymówką:

- Powinieneś najpierw poprosić ojca i mnie o wyrażenie zgody na zorganizowanie wyjazdu Orissy.

Karol obdarzył macochę pogardliwym spojrzeniem, po czym odrzekł:

- Po tym jak zachowała się pani wobec niej przedwczoraj, nie sądzę, by było to konieczne.

- Dbam o twoją siostrę lepiej, niż ci się wydaje - odparła hrabina. - Jeżeli usłyszałeś od niej coś złego na mój temat, z pewnością nie była to prawda!

Karol nie raczył odpowiedzieć macosze, która kontynuowała z coraz większą złością:

- Zrobię wszystko, żeby nie dopuścić do wyjazdu Orissy. To jej ojciec, a nie ty, jest jej prawnym opiekunem. Jeżeli zabroni jej opuścić Anglię, to Orissa nigdzie się stąd nie ruszy!

- Zapewniam panią, że Orissa nie zostanie pod tym dachem ani chwili dłużej, niż jest to konieczne. Nikt i nic, nawet pani, nie przeszkodzi jej w wyjeździe do Indii!

Mówiąc to, Karol opuścił hol i wszedł do małego salonu, gdzie przy stoliku siedział jego ojciec. Mimo że stała obok niego napoczęta butelka oraz pełen kieliszek, hrabia po raz pierwszy od długiego czasu był trzeźwy.

Orissa podążyła za bratem i stacja obok ojca. Czy po to, by okazać wspaniałomyślność, czy dlatego, że odczuwał wstyd z powodu zachowania się żony, hrabia sięgnął do kieszeni i wręczył córce pięć funtów. Widać było, że szczerze mu żał rozstawać się z nią. Orissa przyjęła pieniądze z wdzięcznością, po czym ucałowała ojca na pożegnanie i wyszła.

Poprzedniego dnia Karol przesłał jej razem z wiadomością dwadzieścia funtów. Miała więc dość pieniędzy, by móc pomyśleć o swoim wyglądzie. Nie chciała, by wuj Henry czuł się zażenowany, przyjmując pod swój dach ubogą krewną w zniszczonych sukniach. Wprawdzie pułkownikowi Hobartowi wiodło się dobrze i z pewnością, będąc hojnym człowiekiem, nie szczędziłby wydatków na to, by przebywając u niego Orissa wyglądała stosownie do swej pozycji, jednak na razie sama musiała zadbać o siebie.

Pożegnawszy się z ojcem, opuściła razem z bratem dom, w którym spędziła osiem ostatnich lat.

Kiedy jechali powozem na dworzec, Karol odezwał się:

- Powiadomię wuja o twoim przyjeździe telegraficznie. Tak będzie najrozsądniej.

- Naprawdę myślisz, że zechce mnie przyjąć pod swój dach? - zapytała Orissa, czując, że nagle ogarniają niepokój.

- Jestem przekonany, że przyjmie cię z radością! - stwierdził stanowczo Karol. - A poza tym nie będzie miał wyjścia. Telegram wyślę do niego dopiero wtedy, gdy twój statek będzie już na morzu.

Orissa pomyślała, że będzie musiała przypomnieć bratu, aby to uczynił. Karolowi wszystko ulatywało z pamięci, a tym razem sprawa była bardzo ważna.

Znalazłszy się na pokładzie „Dorundy”, Orissa zapomniała zupełnie o swoich obawach i przeszłości. Wczuwając się z zapałem w rolę mężatki, usiłowała wyglądać poważnie i statecznie, chociaż na jej twarzy malowała się radość dziecka.

Żaglowiec „Dorunda” był dużym, nowoczesnym statkiem pasażerskim z napędem silnikowym. Znajdowały się na nim przestronne kabiny dla podróżnych oraz olbrzymia jadalnia i salon, mogące pomieścić setkę gości naraz. Statek był oświetlony lampami elektrycznymi i, jak zapewnił Orissę steward, który zaprowadził ją do kabiny, mógł z powodzeniem konkurować z najnowocześniejszymi liniowcami na całym świecie, zapewniając pasażerom komfort i bezpieczeństwo.

Orissa była zachwycona. W największym pokładowym salonie stało pianino, a w kilku mniejszych rzędy półek uginające się pod ciężarem setek książek.

Do czasu pojawienia się na pokładzie generała i jego żony z wnukiem, Orissa pod przewodnictwem życzliwego jej stewarda zwiedziła niemal całą „Dorundę”.

- Jaki to wielki statek! - wykrzyknął mały Neil, przywitawszy się z Orissą.

Generał i generałowa weszli na pokład pół godziny przed odpłynięciem „Dorundy”. Lord Critchley okazał się typowym wojskowym o skłonnościach przywódczych nie tylko na polu walki. Był szczupłym, wysokim mężczyzną o żylastych, silnych dłoniach i opalonej twarzy, który sprawiał wrażenie, że nieustannie wydaje rozkazy, nawet kiedy starał się być uprzejmy. Lady Critchley okazała się damą chłodną i powściągliwą, widać było, że w młodości musiała być piękną kobietą, ale w surowym klimacie Indii postarzała się przedwcześnie. Miała niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale jej włosy były całkiem siwe.

Orissie wydało się dziwne, że ich mały, wątły wnuk płynie do Indii, gdzie skazany będzie na życie w męczącym, gorącym klimacie.

- Tak, pani Lane - wyjaśniła niechętnie generałowa - mój wnuk jest bardzo słabowitym dzieckiem i nie powinien przebywać w Indiach, jednak moja siostra, u której mieszkał teraz w Anglii, twierdzi, że Neil bardzo tęskni za matką. Dlatego postanowiliśmy zawieźć go do niej z powrotem.

Statek odbił od nabrzeża późnym popołudniem przy wtórze pożegnalnych okrzyków, zachmurzonym niebie i coraz silniejszym deszczu. Orisa zabrała Neila do swojej kabiny. Dziecko wypilo trochę mleka i zmęczone położyło się spać. Generał z żoną zajmowali kajutę obok. Kiedy zjawili się kilka minut później u Orissy, by życzyć wnukowi dobrej nocy, chłopiec spał już mocnym snem.

- To dobrze, że położyła go pani wcześniej do łóżka - stwierdziła generałowa tonem wyniosłej aprobaty.

- Nie wiem, czy powinnam zejść na kolację do jadalni, czy zjeść ją w kabinie? - zapytała Orissa.

Lady Critchley zawahała się, zanim odpowiedziała:

- Będzie pani jadać na dole, przy naszym stole. Nie jest pani przecież guwernantką Neila i robi nam grzeczność, zajmując się nim w podróży.

Zabrzmiało to, jakby generałowa usiłowała przekonać samą siebie o słuszności tej niewątpliwie przykrej dla niej decyzji.

- Dziękuję - odrzekła Orissa.

- Tylko proszę powiedzieć stewardowi, żeby zaglądał do dziecka podczas pani nieobecności - upomniała ją oschle lady Critchley.

- Oczywiście zrobię to - przyrzekła potulnie Orissa, zamykając drzwi za wychodzącą generałową i uśmiechając się do siebie.

Była rozbawiona protekcyjną łaskawością, którą lady Critchley obdarzała nic nie znaczącą panią Lane i jednocześnie czuła, że duma lady Orissy Fane cierpi z tego powodu. Przypomniawszy sobie jednak ostrzeżenia Karola, Orissa postanowiła nadal sumiennie odgrywać rolę unижonej i wdzięcznej opiekunki wnuka generałowej.

Steward pojawił się w kabinie Orissy kilkanaście minut przed godziną wyznaczoną jako pora kolacji, oznajmiając, że pierwszego wieczora na statku posiłek podawany jest zwykle nieco później.

- Zapewniam jednak, madame, że będzie pani długo wspominać ten pierwszy posiłek na „Dorundzie”, to przecież powitalna kolacja.

Orissa przebrała się w swoją najlepszą suknię, pamiętając, że pierwsze wrażenie najsilniej utrwała się w ludzkich umysłach. Suknia była uszyta z ciemnoniebieskiego, taniego materiału, ale Orissa ozdobiła ją z tyłu kokardą, która zastąpiła turniurę. Prezentowała się doskonale, podkreślając wąską talię dziewczyny i delikatną krągłość jej piersi. Oglądając z satysfakcją swe odbicie w lustrze, Orissa zastanowiła się, czy lady Critchley nie uzna tej kreacji za zbyt szykowną lub śmiałą dla nic nie znaczącej pani Lane. Niestety, do dyspozycji miała ponadto jedynie suknię czerwoną, poplamioną, tę samą, w której znalazła się w koszarach pamiętnej nocy, oraz zieloną, której nie zdążyła przerobić.

W obawie, że może spóźnić się na kolację, Orissa zdecydowała szybko, iż najlepszym rozwiązaniem będzie narzucenie na ramiona jasno-błękitnego hinduskiego szala przetykanego srebrnymi nitkami.

Generał z żoną, jako goście honorowi, zasiedli w jadalni do kapitańskiego stołu. Tego wieczora jednak kapitan nie zjawił się przy nim. Był na mostku kapitańskim, wyprowadzając statek w morze.

Lady Critchley usiadła po prawej stronie nie zajętego przez kapitana krzesła. Generał zajął miejsce obok niej, a Orissa po jego prawicy.

- Czy dobrze zna pani Indie? - zaciekał się generał, zwracając się do Orissy.

- Nie byłam tam od lat - odrzekła ostrożnie.

- Pani mąż zatem musiał pojechać pierwszy, żeby zorganizować wam pobyt? - zgadł generał.

Orissa przytaknęła.

Generał okazał się człowiekiem towarzyskim i nawiązał rozmowę niemal z każdym ze współbiedniaków przy kapitańskim stole. Większość z nich stanowili niżsi rangą wojskowi i ich żony. Było jednak obecnych również dwóch pułkowników, w tym jeden z żoną. Rozmowa w takim gronie, jak spodziewała się tego Orissa, zeszła wkrótce na tematy konfliktów: najpierw w Sudanie, a następnie w Afganistanie. W przeciwieństwie do większości zgromadzonych przy stole dam, Orissa nie była znudzona przysłuchując się konwersacji wojskowych, tym bardziej, że czas umilała jej degustacja rzeczywiście smakowitych, wykwintnych i urozmaiconych potraw.

Po skończonym posiłku lady Critchley jako pierwsza wstała od stołu, oznajmiając:

- A teraz czas na filiżankę kawy w salonie. Następnie, ignorując zupełnie wojskowych niższych rangą, poprosiła obu pułkowników, by towarzyszyli jej w drodze do salonu. Generał idąc jej śladem, ukłonił się żonie pułkownika Onslow i zaofiarował jej swe ramię.

Przyglądając się temu widowisku, Orissa czuła litość dla tych snobistycznych Anglików, którzy nie dostąpili zaszczytu poznania bliżej naczelnego dowódcy wojsk brytyjskich w Bombaju i jego żony i z zawiścią patrzyli na oddalających się z nimi obu pułkowników i pułkownikowej.

Kawę wnieśli do salonu stewardzi w błękitnych uniformach i ustawili filiżanki na niewielkich stolikach. Generał zamówił brandy dla siebie i pułkowników. Orissa poczekała, aż obie damy usiądą, po czym skromnie zajęła miejsce z boku, przy generałowej, zdecydowana, kiedy tylko wypije swoją kawę, opuścić towarzystwo i udać się do swojej kabiny.

Gdy odstawiła w końcu pustą filiżankę i zamierzała wstać, usłyszała donośny głos generała:

- Meredith! Witaj! Dowiedziałem się wcześniej o twojej obecności na pokładzie i sądziłem, że spotkamy się przy kolacji!

Orissie zdawało się przez chwilę, że zemdleje z wrażenia. Jej serce niemal przestało bić. Powoli uniosła głowę, żeby zerknąć spod rzęs na mężczyznę

stojącego przy generale. Major Meredith prezentował się teraz jeszcze bardziej imponująco niż w przyćmionym świetle koszarowego korytarza. Przyglądając mu się coraz śmieiej, Orissa doszła w końcu do wniosku, że nie ma powodu do obaw. Major nie mógł dostrzec jej twarzy, gdy zbiegała wówczas po schodach, było tam zbyt ciemno. Poza tym, dlaczego miałby skojarzyć sobie nieznaną mężatkę, płynącą statkiem w towarzystwie generała i lady Critchley, z kobietą, która wówczas przed nim uciekała?

Major Meredith przywitał się z generałem, a następnie z jego żoną.

- Miło pana znów spotkać, majorze - rzekła jak zwykle oziębłe lady Critchley. - Czy zna pan pułkownika Onslow i jego żonę? Podróżują do Aleksandrii.

- A to pani Lane - lady Critchley przedstawiła majorowi Orissę tak, jakby sobie właśnie o niej przypomniwała. - Płynie do Indii i była uprzejma zaopiekować się naszym niesfornym wnukiem Neilem, którego odwozimy do jego matki mieszkającej w Bombaju.

Orissa skłoniła nieznacznie głowę, nie podając majorowi ręki. Meredith odklonił się jej. Jego twarz była zupełnie bez wyrazu, a w oczach nie pojawił się nawet najmniejszy przeblysłk rozpoznania nieznanego. „Miałam rację!” - pomyślała z ulgą Orissa. „Nie mam się czego obawiać!”

- Przysiadź się do nas, Meredith! - rozkazał majorowi generał. - I uracz nas najświeższymi nowinami z Chartumu!

- Nie dotarły do mnie żadne nowiny, kiedy opuszczałem Londyn - odrzekł major.

„Ma dziwny głos” - pomyślała Orissa. Stwierdziła, że brzmi zupełnie inaczej niż głosy mężczyzn, których dotychczas poznała. Wydawało jej się, że jego głęboki, niski dźwięk jest jej jakby znajomy, chociaż nigdy przedtem go nie słyszała. Szybko jednak przypisała to wrażenie swojej wybujałej fantazji i zaskoczeniu.

- Co nowego w Indiach? - zapytała majora lady Critchley. - Gdy byliśmy w Anglii, nie docierały do nas najświeższe wiadomości.

- Wydaje się, że mamy poważne problemy na północnej granicy - zauważył pułkownik Onslow.

- Czy kiedykolwiek było tam inaczej? - uśmiechnął się major Meredith.

- Tym razem jednak mówi się, że Rosjanie mogą lada dzień wkroczyć do Afganistanu - rzekł pułkownik.

- Nie dopuścimy do tego! - stwierdził stanowczo generał.

- Oczywiście, sir - zgodził się major.

- Wydawało mi się, że problem Afganistanu załatwiliśmy kilka lat temu - wtrąciła pułkownikowa Onslow. - Nie rozumiem, dlaczego wciąż mamy kłopoty na granicy.

- Wyjaśnię to pani - oznajmił jej major. - W Afganistanie wciąż ścierają się interesy wielu grup etnicznych, a to jest bardzo na rękę Rosji, która stara się zaognić sytuację po to, żeby mieć pretekst do zbrojnej interwencji.

- Ale co na tym zyskają Rosjanie? - zdziwiła się pani Onslow.

- Indie! - odparł krótko Meredith.

- Nie sądzi pan chyba, że zechcą zagrozić naszej pozycji w Indiach?! - zachnęła się pułkownikowa.

- Jeżeli będą mieć okazję, zrobią to z pewnością - odpowiedział major.

- Słyszałem - podchwycił pułkownik Onslow - że generał Komarów dysponuje sześćdziesięcioma tysiącami ludzi i stacjonuje z nimi niedaleko Heratu. Kto wie zatem, czy nie spadnie wkrótce razem z nimi na głowę naszym oddziałom!

- Dowiemy się więcej na ten temat, kiedy dopłyniemy do Bombaju - odparł major.

Orissa z taką uwagą przysłuchiwała się słowom Mereditha i śledziła jego twarz, że całkiem zapomniała, iż był najwyższy czas, by wróciła do kajuty. Nie wstając zatem z miejsca, pochyliła się w stronę generałowej i szepnęła jej do ucha:

- Myślę, że powinnam zajrzeć do Neila.

- Oczywiście, pani Lane. Dobranoc - odpowiedziała jej zdawkowo lady Critchley.

Orissa uniosła się i oddaliła od stołu.

„Jak to możliwe! Dlaczego major Meredith znalazł się akurat na pokładzie tego samego statku co ja?!” - przebiegło jej przez myśl. „Przecież to nieprawdopodobny przypadek! Szansa jedna na milion, że spotkam się z nim właśnie na »Dorundzie!«”. Jej serce biło jak oszalałe, jakby dopiero teraz zaczęła przeżywać szok spowodowany nagłym pojawieniem się majora w salonie. Robiła sobie w duszy wymówki, że była bezmyślna i nie zerknęła na listę pasażerów po wejściu na pokład. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że na nic by się to nie zdało. Nie mogła bowiem nieoczekiwanie zrezygnować z rejsu, ani też zamknąć się w kajucie i nie pokazywać w towarzystwie przez całą drogę, gdyż wydałoby się to bardzo podejrzane.

Uspokoiwszy się nieco, Orissa usiadła na swojej koi i zaczęła oceniać sytuację. Sprawy nie miały się najgorzej! Major nie rozpoznał jej. Będzie musiała być jednak ostrożna, bardzo ostrożna! Karol mówił, że major

Meredith lubi „szpiclować”. Ale przecież nie było powodu, dla którego miałyby dociekać, kim jest Orissa. A gdyby nawet, kto mógłby udzielić mu jakichkolwiek informacji?

„Jestem bezpieczna, całkiem bezpieczna!” zapewniała siebie Orissa, rozbierając się i starając zapomnieć o majorze. Niestety, było coś niepokojącego w tym człowieku, w jego niezwykłym głosie. To „coś” nie dawało jej spokoju i nie pozwalało wymazać z pamięci jego twarzy. Leżąc na koi Orissa z otwartymi oczami, przypominała sobie dokładnie wszystko to, co mówił jej o majorze Meredith brat. Już samo wspomnienie tego, że major jest prawdopodobnie odpowiedzialny za śmierć Geralda Dewara wystarczyło, by mogła go potępić, a przecież oprócz tego Karol był na jego czarnej liście. Myśl o tym zrażała Orissę do majora jeszcze bardziej.

- Zepsuje mi całą przyjemność z podróży swoją obecnością na „Dorundzie” - szepnęła w złości i zaraz z właściwą sobie przekorą zdecydowała, że nie dopuści do tego. Nie po to uciekła niemal cudem spod kurateli macochy, by znów cierpieć upokorzenia. Miała dość poniżenia i biedy. Przez osiem lat była nieszczęśliwa i teraz zapragnęła, żeby się to zmieniło. Wyruszając w tę podróż wierzyła, że wszystko wreszcie ułoży się w jej życiu, jakby nieoczekiwanie otworzyły się przed nią drzwi więzienia, wpuszczając światło nadziei i zachęcając ją, by podążyła drogą ku szczęściu. Przed nią były przecież Indie, kraj, który kochała, który na zawsze pozostał dla niej symbolem rodzinnego domu!

Leżąc w ciemności w swojej kajucie Orissa wyobraziła sobie nagle rozświetlone gorącym słońcem lazuruwe niebo, pod którym rozciągały się piękne, niemal bajkowe krajobrazy Indii, niczym oazy szczęścia. Przypomniła sobie upalne dni, barwne ulice i bazy, powietrze przepojone słodkimi zapachami egzotycznych przypraw, owoców i kwiatów. Wydawało jej się, że znów chodzi z matką po małych sklepikach, wśród tłumów kolorowo ubranych ludzi, podziwiając niezwykle wyroby ze złota, kamieni i drewna. Nad tym wszystkim zaś królowało gorące, oślepiające słońce, wypełniając każdy zakątek Indii ciepłem i miłością, których tak bardzo brakowało jej w Anglii.

„Zapomnij o majorze Meredithie!” - nakazała sobie w duchu Orissa, zamykając oczy. „Teraz liczą się tylko Indie, nic więcej!”

Rozdział trzeci

Następnego dnia, mimo że deszcz przestał padać, pogoda pogorszyła się. Wczesnym rankiem Orissę obudziły stłumiony huk wody rozbijającej się o burty i uderzenia lin omasztowania targanych wiatrem. Wysokie, załamujące się fale kołysały statkiem zmierzającym do Zatoki Biskajskiej.

Neil również nie mógł spać. Siedział na koi grymasząc. Czuł się źle, był rozdrażniony, skory do płaczu i wkrótce zaczęły nękać go objawy choroby morskiej. Krzątając się przy chłopcu, Orissa zupełnie nie miała czasu dla siebie. Nie mogła zostawić Neila samego, więc zamówiła śniadanie do kajuty.

Steward, który je przyniósł, powiadomił ją, że większość pasażerów cierpi na tę samą dolegliwość co NetL

- Na tych wodach, o tej porze roku zwykle jest taka pogoda - oznajmił. - Jadalnia na ten czas pustoszeje całkiem!

Po upływie godziny od posiłku Orissa zdecydowała się zabawić zapłakanego wnuka generałowej opowiadaniem zmyślonych historyjek, lecz po kilku minutach przysłuchiwanie się jej dziecko zasnęło.

Orissa postanowiła wyjść na pokład, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Narzuciła płaszcz, zawiązała mocno mały kapelusz, po czym poprosiwszy stewarda, by zaglądał do Neila co pewien czas, wyszła na korytarz. Idąc niepewnym, chwiejnym krokiem, skierowała się na zawietrzną stronę statku, gdzie było zaciszniej.

Wiatr był tak silny, iż tylko trzymając się kurczowo poręczy przymocowanej do ściany, mogła zachować równowagę. Jednak Orissa powoli wspięła się na odkryty pokład.

Morze było wzburzone, a podmuchu porywistego wiatru rozpryskiwały grzbiety fal. Huk spienionej wody rozbijającej się o burty statku, wiatr targający jej ubraniem i rozwiewający kosmyki jej włosów wystających spod kapelusza sprawiły, że Orissa poczuła się nagle beztroska i wolna, jakby udzielił jej się nastrój wzburzonego, roztańczonego morza i swobodnego wiatru.

Nie usłyszała, kiedy drzwi za nią otworzyły się.

- Jest pani naprawdę dzielnym żeglarzem, pani Lane! - dobiegł ją niespodziewanie niski głos tuż zza jej pleców.

Odwróciła głowę. Za nią stał major Meredith. Jego szare oczy spoglądały na nią z rozbawieniem. Orissie przemknęło przez głowę, że musi wyglądać okropnie ze spletanymi włosami, w przekrzywionym kapeluszu.

- Ja też tak uważam i jestem dumna z tego, że przezwyciężyłam strach i swoją słabość - odrzekła. - Gdy obudziłam się dzisiaj rano, wydawało mi się, że nie odważę się wyjść z kajuty, ulegając bezsilnie morskiej chorobie, tak jak mój mały podopieczny.

- A jak się czuje teraz Neil? - zaciekał się major.

- Zasnął ze zmęczenia - odpowiedziała. Wydawało jej się, że jej rozmowa z majorem jest powierzchowna i sztuczna, jakby tracili czas na sprawy, które nie mają znaczenia, pomijając zaś to, co było rzeczywiście istotne i godne uwagi. Pamiętała jednak dobrze ostrzeżenia Karola i dlatego zdecydowała, że lepiej będzie, jeżeli pozostanie przy tej zdawkowej, grzecznościowej wymianie zdań. Starła się być uprzejma i grzeczna, jak przystało na kobietę o jej skromnej pozycji.

Niespodziewanie silny przechył statku sprawił, że Orissa nagle zachwiała się, a ramię majora Mereditha natychmiast znalazło się tuż przy niej, gotowe uchronić ją przed upadkiem. Nie dotknął jej jednak. Widząc, że sama utrzymała się na nogach, major cofnął rękę, a Orissa uciekła przed nim wzrokiem, wpatrując się w spienione zielone fale.

- Wydaje się, że ten widok sprawia pani ogromną przyjemność - odezwał się po chwili milczenia major Meredith.

Zdawało jej się, że w jego głosie zabrzmiała nuta kpiny.

- Rzeczywiście tak jest - odparła, nie odwracając głowy - podziwiając ten wspaniały żywioł mam wrażenie, że jestem jego częścią i... czy świadomość, że nasz statek tak dzielnie stawia mu czoło, nie jest ekscytująca?

- Nie obawia się pani żadnego niebezpieczeństwa?

- Nie, dopóki „Dorunda” zmierzać będzie nadal do Indii. Obawiam się jedynie powrotu do Anglii.

- Dlaczego?

Orissa milczała, a major sam próbując odpowiedzieć sobie na to pytanie, zauważył:

- Większość kobiet twierdzi, że Indie ograniczają ich życie i swobodę i bardzo tęsknią za rodzinnym domem.

Słowo „dom” obudziło w Orissie wspomnienia o matce.

- Dla mnie Indie są domem rodzinnym - odrzekła, po czym czując, że major szykuje się do zadania jej serii kolejnych pytań, dodała: - Muszę wracać do kajuty. Neil może potrzebować mojej opieki.

Powiedziawszy to, cofnęła się prędko o krok, chcąc wyminąć majora, lecz w tym samym momencie dziób statku uniósł się tak gwałtownie, że straciła równowagę. Wydawało jej się, że ześlizgnie się w dół mokrego pokładu i

uderzy o burzę, nad którą rozpryskiwały się fontanny wody. Z jej ust wydobył się słaby okrzyk strachu i sekundę później silna dłoń majora pochwyciła ją za nadgarstek. Major Meredith przyciągnął Orissę tak mocno do siebie, że znalazła się w jego ramionach. Zrobił to błyskawicznie i z taką siłą, że uderzyła z impetem piersią o jego pierś i zabrakło jej tchu. Twarz majora była teraz bardzo blisko jej. Spojrzała w jego szare oczy i na chwilę czas jakby zatrzymał się w miejscu. Otrząsnęła się jednak szybko z oszołomienia, mruknęła coś przeproszającego, po czym ostrożnie dobrnęła do drzwi.

Neil spał wciąż spokojnie, kiedy cicho usiadła na swojej koi. Paliły ją policzki i czuła się tak, jakby kilka chwil wcześniej zmagiła się nie tylko z wiatrem, ale także z dociekliwością i pewnością siebie majora Mereditha. Nadal była przekonana, że nie rozpoznał w niej kobiety, która ukradkiem wymykała się z koszar. Mimo to Orissa przyrzekła sobie uczynić wszystko, by w przyszłości unikać spotkań z majorem.

W ciągu następnych czterech dni łatwo jej było dotrzymać danej sobie obietnicy. Pogoda w Zatoce Biskajskiej, przez którą płynęła „Dorunda”, była wyjątkowo zła. Orissa prawie wcale nie opuszczała kajuty. Podróż zaczęła się jej dłużyć. Czuła się, jakby była zamknięta w więzieniu razem z wnukiem generałowej. Czas wypełniała zajmując się przerabianiem zielonej sukni i szyciem dwóch nowych z muślinu, który zabrała w drogę. Szyjąc opowiadała Neilowi zmyślane historyjki lub znane bajki. Chłopiec wydawał się szczęśliwy leżąc w koi i słuchając Orissy.

Niestety, wszystkie suknie były gotowe, zanim „Dorunda” zbliżyła się do Gibraltaru i Orissa musiała poszukać sobie innego zajęcia. Już pierwszego wieczora zauważyła, że statkiem płyną hinduskie rodziny, które zajmowały kabiny drugiej i trzeciej klasy. Od początku podróży pragnęła zaznajomić się choćby zjedną z kobiet, by w rozmowach odświeżyć sobie znajomość języka urdu. Jednak będąc świadoma tego, że lady Critchley uznałaby jej spoufalenie się z Hindusami na statku za nie na miejscu, Orissa zmuszona była wymyślić jakiś nie rzucający się w oczy sposób zbliżenia się do nich.

Na statku znajdował się płatnik, którego zadaniem było dbanie o to, żeby wszyscy pasażerowie byli zadowoleni z podróży. Był to sympatyczny mężczyzna o ogorzałej twarzy i miłym uśmiechu. Orissa odważnie więc zwróciła się do niego z prośbą o znalezienie kogoś, kto mógłby udzielić jej kilku lekcji języka urdu.

- Ma pani na myśli Hindusa? - zapytał płatnik.

- Tak. Wydaje mi się, że statkiem płynie sporo rodzin hinduskich. Może ktoś zechce zarobić trochę pieniędzy podczas rejsu, chociaż przyznam szczerze, że nie mogę zapłacić za lekcje dużo.

- Rozumiem - odparł płatnik. - Rozejrzę się najpierw wśród pasażerów płynących pierwszą klasą. Jeżeli jednak nie znajdę tu nikogo odpowiedniego, będę musiał poprosić kapitana, o zgodę na wpuszczenie osoby podróżującej drugą lub trzecią klasą na pokład, który zarezerwowany jest wyłącznie dla pasażerów pierwszej klasy.

- Serdecznie dziękuję! - uśmiechnęła się Orissa z nadzieją, że wkrótce podreperuje swoją znajomość języka urdu.

Kiedy statek znalazł się w pobliżu Gibraltaru, pogoda znacznie się poprawiła i jadalnia znów wypełniła się tłumem zgłodniałych podróżnych. Mały Neil zaczął rano towarzyszyć dziadkom, schodząc na śniadanie do jadalni i zasiadając z nimi do kapitańskiego stołu. Orissa, mimo postanowienia, że będzie unikać spotkań z majorem Meredithem, widywała go regularnie trzy razy dziennie przy każdym posiłku. Jakby na przekór jej niechęci do majora jego obecność przy stole nadawała rozmowom bardziej ciekawy przebieg.

- Och, porozmawiajmy w końcu o czymś bardziej pogodnym! - nie wytrzymała pewnego razu pułkownikowa Onslow. - Mam już dość słuchania o liczbach rannych i zabitych!

Powiedziawszy to pani Onslow niespodziewanie uśmiechnęła się do Orissy i zauważyła:

- Jestem pewna, że podobnego zdania jest również pani Lane. Pewnie nie może się już pani doczekać jakiejś informacji w gazetach na temat zaręczyn księżniczki Beatrice z księciem Battenhurg? Tak... to bardziej interesuje kobiety niż wojna...

- Oczywiście - przyznała Orissa, nie chcąc być nieuprzejmą.

Gdyby jednak mogła być w tamtej chwili szczerą, musiałaby stwierdzić, że wszystko, o czym mówił major Meredith, brzmiało w jego ustach niezwykle interesująco, nawet suche liczby. Uświadamiając to sobie, Orissa odkryła nagle, że w ogóle nie miało znaczenia to, o czym major mówi. Po prostu chciała słuchać i słuchała jak zahipnotyzowana dźwięku jego głosu, jakby jakaś niepojęta siła zmuszała ją do tego.

Po kilku dniach przebywania w towarzystwie majora przy posiłkach, Orissa zaczęła wyczekiwać z niecierpliwością jego pojawienia się w jadalni. Obserwowała go z uwagą, kiedy zbliżał się do swojego krzesła i nie mogła

zrozumieć, co jest takiego w tym przeciętnym z wyglądu mężczyźnie, że w tak niezwykle sposób potrafił przyciągać do siebie ludzi, a zwłaszcza kobiety.

Major Meredith nie był najwyższym wśród zgromadzonych przy stole wojskowych. Jego włosy miały nieokreślony, ciemnobrązowy kolor, a rysy, chociaż ostro wykrojone, były niezbyt regularne. W jego pociągłej twarzy rzucały się w oczy jedynie wyraziste kości policzkowe, przenikliwe stalowoszare oczy i wyraz cynicznego grymasu na ustach, nadające mu wygląd stanowczego i pewnego siebie mężczyzny. Gdyby miała oceniać go na podstawie fotografii, stwierdziłaby, że jest typowym Anglikiem, jakich tysiące przechadza się londyńskimi ulicami. Jednak obserwując, jak się porusza, mówi i uśmiecha, dostrzegła w nim autorytet, niemal władczość.

Coraz częściej zaczęła się zastanawiać, jak major Meredith spędza czas na statku. Zauważyła, że nigdy nie był obecny w salonie przed posiłkami i zasiadał do stołu dopiero wtedy, kiedy wszyscy byli już przy nim zgromadzeni. Wiedziała też, że major nie jest amatorem gry w karty ani innych gier hazardowych, inaczej niż większość mężczyzn i kobiet na pokładzie „Dorundy”.

Morze Śródziemne przywitało pasażerów „Dorundy” ciepłymi, słonecznymi dniami. Orissa postanowiła przebywać jak najwięcej na świeżym powietrzu i próbowała zachęcić do tego małego Neila.

Wśród rzeczy, które zabrała ze sobą, miała małe, dziecinne pudełko farb i książkę z obrazkami do kolorowania. Wręczając je teraz Neilowi, przekonała chłopca, że powinien każdego dnia zakolorować jeden z rysunków, tak by po dopłynięciu do Bombaju mógł pochwalić się swoimi osiągnięciami mamie. Kiedy na dwa dni przed dopłynięciem do Aleksandrii wszystkie ryciny w książce wypełniły się barwami, Orissa sama zaczęła szkicować ołówkiem na odwrotnych stronach kartek sceny z historyjek, które opowiadała Neilowi, a chłopiec dodawał drobne szczegóły od siebie.

Dzień przed dopłynięciem do portu w Aleksandrii Orissa przechadzała się po odkrytym pokładzie z Neilem, gdy nieoczekiwanie „Dorunda” zbliżyła się do przepływającego obok okrętu wojennego. Podekscytowany chłopiec wyrwał się Orissie i pobiegł do kajuty. Po chwili wrócił z ołówkiem i książką do rysowania.

- To będzie statek dla mamy! - stwierdził z entuzjazmem, wręczając Orissie ołówek oraz książkę.

Orissa spojrzała z konsternacją na ogromny okręt z dwoma wysokimi masztami i wielkim kominem pośrodku, wyrzucającym kłęby czarnego dymu, po czym usiadła na krześle i rozłożyła bezradnie książkę na kolanach.

- Narysuj maszty i liny, i wszystkie flagi! - rozkazał jej chłopiec.
- Bardzo bym chciała, ale... to nie będzie łatwe... Nie wiem, czy mi się uda... - zauważyła sceptycznie.

- A ja sądziłem, że jest pani utalentowana pod każdym względem, pani Lane! - usłyszała raptem nad głową kpiący głos.

Nie musiała spoglądać w górę, by wiedzieć, że za jej plecami stoi znów major Meredith.

- Ona umie narysować wszystko! - zapewnił go Neil, którzy nie należał do nieśmiałych dzieci i odważnie spoglądał w oczy majorowi.

Meredith uśmiechnął się do niego, po czym zwracając się do Orissy, pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Ten okręt to HMS „Agamemnon,” i żeby informacja była pełna, pani Lane, dodam, że jest on najnowocześniejszym krążownikiem angielskim z napędem o podwójnej śrubie, wyposażonym w cztery dalekosiężne działa.

- To rzeczywiście bardzo mi ułatwi narysowanie go! - zauważyła sarkastycznie Orissa.

- Proszę pamiętać, że działa powinny być narysowane w pozycji na burcie przeciwnika - poinstruował ją major. - W ten sposób uzyska pani lepszy efekt wizualny.

- Jeżeli tak dobrze zna się pan na efektach wizualnych, proszę wziąć ołówek do ręki i pokazać mi, jak się to robi! - powiedziała ironicznie i wyciągnęła w jego stronę książkę i ołówek.

Była przekonana, że major odmówi, lecz ku jej zaskoczeniu Meredith bez wahania wziął je z jej ręki, po czym przysunawszy sobie krzesło, usiadł i po kilku chwilach naszkicował HMS „Agamemnona” w całej krasie i okazałości.

- Jest pan najprawdziwszym artystą! - wykrzyknęła zdumiona, podziwiając rycinę.

- Schlebia mi pani! - roześmiał się.

- To prawda, że nie najlepiej znam się na malarstwie i rysunku, nigdy nie należały one do moich hobby, ale nadal twierdzę, że stworzył pan, według mnie, arcydzieło! - szepnęła Orissa, przyglądając się z zachwytem szkicowi, który wykańczał major.

- A jakie jest pani hobby? - zaciekawiał się niespodziewanie Meredith.

- Historia i literatura - przyznała się szczerze.

- Tak myślałem - uśmiechnął się.

- Dlaczego?! - zdziwiła się i jednocześnie doszła do wniosku, że ich rozmowa schodzi za bardzo na tematy osobiste.

Major Meredith w odpowiedzi wręczył jej jedynie szkic okrętu wraz z ołówkiem i poinformował:

- HMS „Agamemnon” nosi imię po swoim poprzedniku, który był mniejszy i zbudowany z drewna, a zakończył żywot biorąc udział w bitwie o Sewastopol.

- Naprawdę? - oczy Orissy zabłyśły z przejęcia. - Dużo czytałam o tej bitwie!

Mimo iż uważała, by w obecności majora nie zdradzać zainteresowania sprawami wojskowymi, Orissa nie wytrzymała i zapytała wprost:

- Czy... sytuacja w Indiach jest rzeczywiście tak poważna, jak pan mówił?

- Nawet bardzo poważna, ale większość ludzi nie ma o tym pojęcia - odrzekł, po czym, jakby nie chcąc podtrzymywać rozmowy na ten temat, oddalił się od niej bez słowa i podszedł do Neila wciąż podziwiającego HMS „Agamemnona” z brodą opartą o burzę.

Przez kilka chwil rozmawiał z chłopcem, a następnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na Orisę, oddalił się i zniknął w drzwiach prowadzących pod pokład.

Neil spędził resztę popołudnia na mozolnym, dokładnym zamalowywaniu dzieła majora Mereditha.

Nazajutrz „Dorunda” zawinęła do portu w Aleksandrii. Ku rozczarowaniu Orissy, lady Critchley z obawy o to, że Neil może nabawić się jakiejś tropikalnej choroby, zdecydowała, iż nie opuści on statku. Zawiedziona Orissa musiała więc zadowolić się podziwianiem portu i miasta z pokładu. Jej rozczarowanie wzrosło, kiedy dowiedziała się, że z tego samego powodu pozostanie na pokładzie „Dorundy” również w Port Saidzie.

W Port Saidzie jednak pasażerowie wrócili wcześniej na statek, gdyż „Dorunda” wypływała o dziewiątej wieczorem w powolną podróż Kanałem Sueskim. Tak więc punktualnie o wyznaczonej porze wszyscy zasiedli w komplecie do kolacji. Wszyscy z wyjątkiem, jak zwykle, majora Mereditha. Kiedy zjawił się w końcu przy stole, Orissa spostrzegła, że jest spięty i posepny. Domyśliła się, że musiało wydarzyć się coś niemiłego.

Zajmując miejsce obok generała, major Meredith powiedział do niego cicho, ale tak, że wszyscy obecni mogli usłyszeć go bez trudu:

- Przykro mi, sir, ale generał Gordon poniósł klęskę pod Chartumem.

- Niemożliwe! - wykrzyknął generał Critchley. - Czy zginął na polu walki?

- Prawdopodobnie tak - odrzekł major. Pięść generała Critchleya spadła z hukiem na stół. - Jeżeli ktoś ponosi za to winę, jest to z pewnością nasz

premier! Dlaczego zwlekał tak długo z wysłaniem tam korpusu ekspedycyjnego?!

- Tak bywa, kiedy za politykę biorą się panowie grubo po siedemdziesiątce - wpadła mężowi w słowo generałowa Critchley.

- Nieszczęsny generał Gordon - zauważyła wzdychając pułkownikowa Onslow.

- Przecież nasze oddziały powinny już dawno dotrzeć z Egiptu do Chartumu i wesprzeć go! - wykrzyknął oburzony pułkownik McDougal.

- Prawdopodobnie natknęły się na przeciwnika, przekraczając katarakty na Nilu - odpowiedział spokojnie major Meredith. - Nie należy wysnuwać pochopnych wniosków dopóty, dopóki wszystko nie zostanie dokładnie wyjaśnione.

- Jak pan sądzi, Meredith, czy sir Charles i major Kitchener wycofają się teraz spod Chartumu, czy może spróbują zaatakować jeszcze raz? - zapytał generał.

- Możemy wyłącznie zgadywać - odrzekł major Meredith. - Nie wiemy, jak szybko otrzymają wsparcie i jak liczna jest armia Mahdiego.

- Ten przeklęty buntownik stojący na czele dzikusów uzbrojonych w dzidy miałyby nas pokonać? - zachnął się generał.

- Mahdi jest doskonałym przywódcą, sir - odparł Meredith. - Poza tym proszę wziąć pod uwagę fakt, że jest to święta wojna. - Arabowie zaś są fanatykami i wiara potrafi ich uskrzydlić.

Orissa pomyślała, że to prawda i zastanowiła się, czy zarówno generał jak i dwaj pułkownicy rozumieją rzeczywiście sytuację i świadomi są tego, że wiara w jego sprawę nie raz dodawała człowiekowi odwagi i sił.

Wiadomość o śmierci generała Gordona sprawiła, że nastroje zgromadzonych przy stole pogorszyły się, nie sprzyjając konwersacji. Orissa z ulgą opuściła więc wcześniej jadalnię po skończonym posiłku i udała się na lekcję języka urdu.

Płatnik wywiązał się sumiennie ze swego zadania i na drugi dzień po ich rozmowie zapoznał Orissę z Hindusem, panem Mahlą. Był to inteligentny mężczyzna w średnim wieku, pochodzący z Bengalu, który wykładał języki hinduskie na jednym z londyńskich uniwersytetów.

Lekcje, których zaczął udzielać Orissie, nie kosztowały jej dużo, a przy tym sprawiały jej ogromną przyjemność. Była szczęśliwa, mogąc rozmawiać w języku, którego uczyła ją w dzieciństwie hinduska niania. Pan Mahla prowadził z nią rozmowy na przeróżne tematy, także o zasadach buddyzmu i hinduizmu, które wykładał w Londynie.

Tego wieczora rozmowa z panem Mahlą przedłużyła się nieco. Wróciwszy pośpiesznie do kajuty, Orissa zastała Neila pogrążonego w głębokim, spokojnym śnie. Pod wpływem nagłego impulsu zapragnęła skorzystać z okazji i wyjść na chwilę na pokład. Wzięła swój lśniący hinduski szal i podążyła cichymi korytarzami w stronę schodów.

Na pokładzie było całkiem pusto. Orissa podeszła do burty i zapatrzyła się w ciemność. „Dorunda” płynęła bardzo wolno wąskim kanałem za małą, pilotującą ją łodzią. Turbiny maszyn pod pokładem były prawie niesłyszalne i wokół panował niczym nie zmacony spokój. W świetle niezliczonych, jasnych gwiazd i cienkiego księżyca mogła dostrzec pustynne wydmy ciągnące się aż po horyzont. Widok był piękny i dziki, zapierający dech w piersi.

- Z czym się pani kojarzy ten krajobraz? - usłyszała niespodziewanie niski znajomy głos tuż za sobą.

Tym razem, o dziwo, nie czuła się zaskoczona nagłą obecnością majora Mereditha za jej plecami.

- Nie potrafię tego wyrazić słowami - odrzekła po chwili Orissa. Miała wrażenie, że rozmawiają ze sobą od długiego czasu.

Major nie odzywał się, a Orissa ciągnęła:

- Jest to niewiarygodnie piękny, cudowny widok, choć... jednocześnie przepelniający mnie lękiem...

- Dlaczego?

- Ponieważ uświadamia mi, jak mało znaczę we wszechświecie. Wokół każdej z tych gwiazd być może krążą niezwykle, wspaniałe światy, dla mnie jednak pozostaną one na zawsze tajemnicą, tak jak ja sama...

- Jest pani dla siebie tajemnicą? - zdziwił się.

- Tak! - uśmiechnęła się. - Odkąd zaczęłam myśleć samodzielnie, zadaję sobie co pewien czas pytanie, kim jestem i do tej pory nie znalazłam odpowiedzi na nie.

- Ktoś taki jak pani nie powinien mieć z tym trudności - zauważył z naciskiem.

- Jednak tak nie jest - odrzekła. - Kiedy patrzę na ten otaczający mnie, niepojęty, nieskończony kosmos, nie wiem, kim jestem... Czuję się bezsilna, bez znaczenia i... zupełnie samotna...

Orissa uniosła głowę, spoglądając na gwiazdy. Major zapatrzył się na moment w jej subtelny profil, wiotką, długą szyję, biały delikatny kark i ramiona, z których zsunął się hinduski szal, po czym najwyraźniej z drwiną w głosie, zauważył:

- Jeżeli dokucza pani samotność, łatwo można temu zaradzić.

Mówiąc to, objął ją i niemal brutalnie przyciągnął do siebie. Głowa oniemialej ze zdumienia Orissy opadła na jego ramię, a sekundę później na jej rozchylnych wargach spoczęły jego usta. Przez chwilę nie potrafiła pojąć, co się z nią dzieje. Nie była w stanie poruszyć się w silnych ramionach majora, poddając się coraz bardziej natarczywości jego ust. Czowała się zniewolona i jednocześnie bezpieczna w jego objęciach.

Orissa nigdy przedtem nie była całowana przez mężczyznę. Dziwne, mistyczne odczucia, które ją wypełniły, zdawały się nie być zwykłymi ludzkimi emocjami, lecz doznaniem wywołanym przez jakiś niezwykle narkotyk, i nie pozwalały jej zebrać myśli. Było to dla niej doświadczenie obce i szokujące, lecz zarazem cudowne i wspaniałe. Miała wrażenie, że cała potęga wszechświata skupiła się w tej chwili w mężczyźnie, który trzymał ją w ramionach, i w jego pożądliwym pocałunku.

Usta majora były ciepłe, cudownie zniewalające i Orissa miała wrażenie, że oddaje mu się cała w posiadanie, gdy jednak w końcu oderwał usta od jej warg, czar prysł w jednej chwili. Orissę wypełniał teraz jedynie strach graniczący niemal z paniką. Gwałtownie odepchnęła od siebie majora, który nie próbował jej zatrzymać, i rzuciła się biegiem w stronę drzwi. Wiedziała, że major Meredith wciąż przeszywa ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła pod pokładem.

Kiedy znalazła się w swojej kabinie, zamknęła bezszelestnie drzwi i zrozpaczona położyła się na koi, skrywając twarz w poduszce. Nie mogła uwierzyć w to, co zaszło między nią a majorem. Nie potrafiła zrozumieć, jak śmiał zachować się tak zuchwale i jak ona mogła na to pozwolić?! Odpowiedź na to pytanie była jednak bardzo prosta i oczywista. Rozpoznał ją! Odgadł, że pani Lane jest tą samą kobietą lekkich obyczajów, która wymykała się o świcie z koszar po spędzeniu nocy z wicehrabią Dillinghamem i... teraz potraktował ją w sposób na który zasługiwała!

Orissa z wypiekami na twarzy pomyślała, iż major Meredith, będąc dżentelmenem, nie zachowałby się w ten sposób, gdyby nie był przekonany, że kobieta, która stoi obok, nie jest szacowną, stateczną mężatką, lecz kochanką wojskowego z Londynu, zdradzającą swego męża, który przebywa w Indiach. Uświadomiła sobie, że swoim postępowaniem nieopatrznie sama podsunęła mu taką myśl. Nie powinna była tak swobodnie i otwarcie wyrażać przy nim swoich uczuć, a zwłaszcza wspominać o tym, że jest samotna. Zachęciła go przecież tym samym do nietaktownego potraktowania jej.

Roztrzęsając kolejny raz swą rozmowę z majorem, Orissa zrozumiała, że podczas gdy ona mówiła o samotności duszy, major Meredith musiał mieć na

myśli jej ciało. Sądząc zaś, że jest niewierną żoną i łatwą do zdobycia kobietą, nie dostrzegł nic niestosownego we flirtowaniu z nią.

- Wstyd mi! Wstyd! - powtarzała Orissa szeptem do poduszki. Czuła, że powinna winić wyłącznie siebie za to, co się zdarzyło, a także... swoją macochę, która była odpowiedzialna za jej ucieczkę z domu. Robiła sobie wyrzuty, że nie była dość ostrożna w towarzystwie majora. Powinna była przecież domyślić się, że jego przenikliwe oczy z łatwością dostrzegą każde jej potknięcie. Nie pojmowała, jak mogła być tak głupia, by sądzić, że nie zapamięta jej figury, sposobu poruszania się i czarnych włosów w przyćmionym świetle koszarowych korytarzy?!

Z drugiej strony, analizując to co się stało, Orissa zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie potrafiła zareagować bardziej stanowczo na nieoczekiwane zachowanie majora Mereditha; dlaczego nie uczyniła najmniejszego wysiłku, by wymknąć się z jego ramion, lecz bez wahania poddała się jego woli. Przemknęło jej przez głowę, że jej reakcja przypominała bardziej reakcję kobiety lekkich obyczajów niż niewinnej, skromnej i całkiem niedoświadczonej dziewczyny, której nigdy przedtem nie trzymał w ramionach żaden mężczyzna.

Nie znajdowała wytłumaczenia dla swojego zachowania i nieoczekiwanie stwierdziła, że nie chce znaleźć. Pocałunek majora był jakby częścią cudownej, niezwykłej atmosfery tej nocy. Orissa przyznała nieśmiało w głębi duszy, że gdyby tylko major Meredith zechciał zatrzymać ją dłużej w swych ramionach i obdarzyć kolejnymi pocałunkami, pozwoliłaby mu na to. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale będąc busko niego, po raz pierwszy od chwili śmierci matki, czuła się bezpieczna.

- To znów ta twoja wybujała wyobraźnia! - szepnęła do siebie w złości, chociaż wiedziała, że tak nie jest.

Leżąc na koi z szeroko otwartymi oczami, Orissa zaczęła z kolei zastanawiać się, jak powinna zachować się wobec majora rano przy śniadaniu. Bała się tego spotkania panicznie, lecz nie mogła go uniknąć. Choć czuła się upokorzona i bezsilna, wiedziała, że musi stawić czoło bezlitosnej rzeczywistości.

Nigdy nie sądziła, że jeden pocałunek może całkiem odmienić jej życie, że uczucie, które wzbudziło w niej dotknięcie ust majora Mereditha, zawładnie nią zupełnie, jakby nagle przestała należeć do siebie, oddając mu swe serce.

- To nie powinno było się wydarzyć! - zdesperowana wykrzyknęła w głębi duszy.

Jednak wydarzyło się i nie mogła już nic na to poradzić.

Rozdział czwarty

Wczesnym ranem Orissa zastukała niecierpliwie w drzwi kabiny generała i lady Critchley.

- Myślę - zwróciła się do generałowej, która dopiero co wstała z koi - że byłoby lepiej, gdyby Neil jadł śniadanie w kajucie razem ze mną. Przy stole w jadami staje się zbyt kapryśny i niesforny. Od jedzenia odciągają go ludzie i niezwykle otoczenie, a po przebytej chorobie jest wciąż osłabiony i powinien dobrze się odżywiać.

- Cóż, pani Lane, to rzeczywiście dobry pomysł - zgodziła się lady Critchley.

Uporawszy się w ten sposób z problemem spotykania majora Mereditha przy śniadaniach, Orissa bez wahania zaofiarowała swoje towarzystwo małemu Neilowi także przy popołudniowym i wieczornym posiłku.

Do końca podróży zostało już tylko siedem dni, podczas których mogła spokojnie w odosobnieniu przemyśliwać wydarzenia ostatniej nocy. Wkrótce doszła do wniosku, że gdyby tylko zechciała, mogła znacznie wcześniej wymyślić mnóstwo innych sposobów uniknięcia spotkań z majorem Meredithem, eliminując wszelkie ryzyko rozpoznania jej już od samego początku rejsu.

Domyślała się, choć nie była tego pewna, że bladym świtem, kiedy większość pasażerów drzemała w kojach, major musiał uprawiać gimnastykę. Wskazywała na to jego sylwetka i doskonała forma fizyczna. Nie wiedziała jednak, dlaczego spędza tak dużo czasu sam w kajucie. Być może robił jakieś notatki dotyczące spraw wojskowych albo, co gorsze, przygotowywał raporty o podobnych Karolowi nieodpowiedzialnych i samowolnych młodych żołnierzach. Na samą myśl o tym Orissa usiłowała wzbudzić w sobie nienawiść do majora Mereditha, lecz mogła jedynie wspominać pocałunek, którym ją obdarzył i uczucie nagłego, gorącego dreszczu uniesienia przebiegającego jej ciało, gdy była uwięziona w jego ramionach.

Unikała spotkań z majorem jak tylko mogła. Wychodziła z wnukiem generałowej na odkryty pokład, wybierając umyślnie pory dnia, w których wzdłuż burt spacerowały tłumy pasażerów i kierowała się w największy tłok w nadziei, że tam nie natknie się na majora Mereditha.

Kiedy „Dorunda” wpłynęła na spokojne wody Morza Czerwonego, powietrze stało się gorące i parne, nie pozwalając podróżnym na przebywanie w kajutach w ciągu dnia. Pewnego późnego popołudnia Orissa zaproponowała panu Mahli, by wyszli na pokład i tam spędzili czas przeznaczony na lekcję.

Ustawili krzesła pod markizą na górnym, zupełnie opustoszałym pokładzie. Wiatru nie było prawie wcale. Statek płynął szybko na pełnych obrotach silników ze zwiniętymi żaglami. Szarzejące niebo znów wypełniły gwiazdy tajemniczym światłem, z którym konkurował żółty blask elektrycznych lamp pokładowych.

Orissa usiadła, a pan Mahla zajął krzesło obok niej.

- Czy cieszy się pan z powrotu do rodzinnego kraju? - zapytała go w jego ojczystym języku.

- Nie. Chciałbym zostać na zawsze w Anglii. Odpowiada mi praca, którą wykonywałem w Londynie. Zaprzyjaźniłem się tam z wieloma interesującymi ludźmi...

- Czy musi pan wracać do Indii?

- Tak, zmarł mój ojciec. Teraz ja zostałem głową rodziny. Pod moją opieką znalazła się matka, bracia, trzy siostry i ich dzieci. Wszyscy czekają na mój powrót.

- Czy zrezygnuje pan w ogóle z pracy wykładowcy?

Pan Mahla skinął głową.

- Mamy kawałek ziemi na własność - odparł. - Ktoś musi nią zarządzać i pracować na niej.

- A więc wszystko co pan osiągnął, pracując na uniwersytecie, przepadnie?

- To jest moja karma - mój los.

- Czy to nieodwołalne, nie ma pan żadnego wyboru?

- Nie - uśmiechnął się smutno. - Wszystko jest już przesądzone. Proszę spojrzeć na linie życia mojej ręki. Zapisane jest tu to, co czeka mnie w przyszłości...

- Umie pan czytać z ręki?!

- Czasami...

- Czy może pan wyczytać coś z mojej? Orissa wyciągnęła rękę w stronę pana Mahli, który bardzo delikatnie ujął ją w swoją dłoń.

- Tak... - powiedział. - Z pani ręki można wyczytać wiele. Choćby to, że jest pani osobą silnego charakteru...

W tym samym momencie na jej dłoń padł niespodziewanie cień. Orissa spojrzała w górę i serce zamarło jej z przerażenia. Nad nią stał znów major Meredith, a w jego oczach błyskał gniew.

- Nie ma pan prawa przebywać na pokładzie pierwszej klasy! - major zwrócił się do pana Mahli ze złością.

Na moment Orissa i jej nauczyciel zastygli ze zdumienia, po czym pan Mahla wstał powoli, uklonił się Orissie i szybko oddalił, zanim zdążyła

otworzyć usta. Była tak zaskoczona nieoczekiwanym pojawieniem się majora Mereditha i jego nietaktownym zachowaniem, że nie mogła zebrać myśli. Wpatrywała się oniemiała w jego oczy, z których emanował gniew, kiedy mówił dalej.

- Byłoby rozsądniej, pani Lane, gdyby zachowała pani swoje względy dla równych sobie zarówno pod względem pozycji społecznej, jak i koloru skóry!

Na policzki Orissy wypłynął ognisty rumieniec, a sekundę później odzyskała mowę.

- Jak pan śmie zwracać mi w ten sposób uwagę? - wyrzuciła z siebie cicho głosem przepelnionym wściekłością. - Jak śmie pan w ogóle cokolwiek mi sugerować?! Nie ma pan prawa wtrącać się w moje życie ani w życie kogokolwiek innego!

Złapała oddech i ciągnęła dalej:

- Wiele o panu słyszałam, majorze Meredith. Wydaje mi się, że za bardzo interesuje się pan sprawami, które pana nie dotyczą! Wszędzie gdzie się pan pojawi, stwarza pan problemy!

Na twarzy majora pojawiło się zaskoczenie gwałtowną reakcją Orissy, lecz ona nie dostrzegając niczego i mówiła wciąż cicho, dobitnym głosem:

- Kiedy już pan dopadnie swoją ofiarę, która według pana ma na sumieniu jakieś przestępstwo, zneć się pan nad nią, czyniąc jej życie udręką, tak jak zrobił pan to w przypadku nieszczęsnego Geralda Dewara, który popełnił przez pana samobójstwo!

- O czym pani mówi? - w głosie majora Mereditha dźwięczało najprawdziwsze zdumienie. - Kto naopowiadał pani takich rzeczy?!

- Nienawidzę pana i pogardzam panem! - wykrzyknęła w końcu. - Staralam się unikać pana, odkąd tak zuchwale zachował się pan wobec mnie tamtego wieczora, ale wciąż wtrąca się pan w moje prywatne życie. Proszę od tej chwili zostawić mnie w spokoju! Nie chcę pana więcej widzieć!

Mówiąc to, Orissa odwróciła się i odeszła zdecydowanym krokiem z dumnie uniesioną głową.

Chociaż nie umykała już przed majorem jak podczas ich poprzedniego spotkania, czuła jednak, że drży cała pod wpływem szoku i złości. Dopiero kiedy znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, przyśpieszyła znacznie, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w kajucie. Neil spał spokojnie, gdy z trudem chwytając powietrze, stanęła przed lustrem i spojrzała na swe odbicie. Jej policzki miały niemal taki sam kolor jak purpurowa suknia, w którą była ubrana, a którą miała na sobie również wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzała majora Mereditha na pokładzie „Dorundy”.

„Może ta suknia przynosi nieszczęście?!” - pomyślała roztrzęsiona. „Może ten kolor ściąga na moją głowę jakieś fatum?” Zaraz jednak doszła do wniosku, że jedynym fatum, które wciąż wisiało nad nią, był major Meredith, a nieszczęścia sprowadzała na siebie sama. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej bowiem, że gdyby nie dwuznaczne sytuacje, w których zastawał ją major, nie śmiałyby odnosić się do niej w tak zuchwały sposób. Już sam fakt, że widział ją wymykającą się o świcie z wojskowych koszar, mógł dawać mu prawo do takiego zachowania i zasugerować, że teraz z kolei flirtuje na pokładzie z panem Mahlą, którego ujrzał siedzącego przy niej w świetle gwiazd i trzymającego jej rękę blisko swej twarzy. Kto wie, może major Meredith widząc tylko ich sylwetki, pomyślał, że pan Mahla całuje namiętnie jej rękę?

„Mimo wszystko, jak major mógł postąpić tak nietaktownie?” zdumiała się ponownie, lecz po chwili stwierdziła w duchu, że to co zaszło między nimi, jest właściwie bez znaczenia. Już za kilka dni będzie miała tę podróż za sobą i nigdy więcej go nie ujrzy. Czy jednak przypadkiem w jej linii życia nie jest zapisane, że nie ucieknie przed majorem Meredithem? Orissa przypomniawszy sobie nagle niezwykłą wiarę Hindusów w przeznaczenie.

- To nonsens! - szepnęła do siebie, starając się zachować zdrowy rozsądek.
- Nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie. Wszyscy jesteśmy wolni, mamy prawo wyboru i sami decydujemy o sobie!

Wciąż jednak miała w pamięci buddyjskie wierzenia, które poznała, i nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej los w jakiś dziwny sposób jest już przesądzony.

Chcąc zapomnieć o tej niemiłej perspektywie, pomyślała o tym, co musiał czuć pan Mahla. Obrażono jego godność, a ona nie potrafiła stanąć w jego obronie, oniemiała i zaskoczona zachowaniem majora. Leżąc na koi z otwartymi oczami, Orissa zastanawiała się długo nad tym, czy pan Mahla zjawi się na kolejną lekcję.

Kiedy następnego dnia o wyznaczonej godzinie jej nauczyciel pojawił się znów w drzwiach, Orissa odetchnęła z ulgą. Pan Mahla przywitał się tak, jakby nic się nie wydarzyło poprzedniego wieczora.

- Bardzo się cieszę, że znów pana widzę! - uśmiechnęła się do niego. - Jak ma się pańska rodzina?

Tym razem pan Mahla nie podziękował za zainteresowanie, które okazała, lecz z troską w głosie odrzekł:

- Martwię się o moją żonę...
- Dlaczego? - zaniepokoiła się Orissa.

- Nie czuje się dobrze. Miała bardzo silne bóle w nocy i nad ranem i nadal cierpi.

- Czy była u lekarza okrętowego? Pan Mahla potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Nie chce. Moja żona była wychowana w tradycyjnej hinduskiej rodzinie i nie zgadza się, żeby zbadał ją mężczyzna.

- Rozumiem.

- Nie wiem, co robić, pani Lane. Żona nie spała prawie całą noc z powodu silnego bólu brzucha.

- Może zjadła coś ciężkostrawnego - zasugerowała Orissa. - Czy chciałby pan, żebym ją odwiedziła?

- To miłe, że pomyślała pani o tym, jednak ktoś z pani pozycją społeczną nie powinien pokazywać się na pokładzie trzeciej klasy.

- Nic podobnego! - zaprotestowała Orissa. - Proszę opowiedzieć mi dokładnie, jaki ból męczy pana żonę i w którym miejscu.

Pan Mahla opisał Orissie szczegółowo, na co narzeka jego żona.

- Pomówię z lekarzem okrętowym - powiedziała po namyśle.

- Byłbym pani bardzo wdzięczny - twarz pana Mahli rozpozodziła się nieco. - Ale... nie chciałbym się narzucać...

- Nie narzuca się pan - zapewniła go z uśmiechem. - Zaraz wracam...

Mówiąc to, Orissa zniknęła za drzwiami.

Doktora Thompsona zastała w jego gabinecie. Był to niezbyt inteligentny i mało ambitny człowiek, lubił jednak życie towarzyskie i odpowiadała mu praca na statku.

- Pani Lane! Wygląda pani znakomicie! Chyba nie przyszła pani szukać u mnie pomocy dla siebie.

- Nie - przyznała. - Na statku znajduje się kobieta, która potrzebuje pana pomocy, ale nie może sama przyjść do gabinetu.

Orissa wyjaśniła całą sytuację, opisując dolegliwości żony pana Mahla. Wysłuchawszy jej, doktor wydawał się zadowolony, że nie musi osobiście zajmować się pacjentką płynącą trzecią klasą, i to na dodatek Hinduską.

- Tak, pani Lane! - powiedział beztrósco. - Z Hindusami jest zawsze ten sam problem: nie potrafią przywyknąć do naszego jadłospisu i często głodują podczas rejsu.

- Ale jej mąż twierdzi, że towarzyszą tej dolegliwości silne bóle - przypomniała mu Orissa.

Doktor Thompson bez słowa wyjął z apteczki małą butelkę z białym płynem oraz tabletki.

- Proszę powiedzieć jej mężowi, że powinna połykać dwie łyżeczki tej mikstury co cztery godziny. To przywróci jej normalną przemianę materii i osłabi gorączkę, a te pigułki pomogą jej zasnąć - wyjaśnił, wręczając leki Orissie.

- Dziękuję - odrzekła i szybko wróciła do kajuty, gdzie czekał na nią pan Mahla.

- Jest pani pewna, że chce odwiedzić moją żonę, pani Lane? - jeszcze raz, niepewnie zapytał jej nauczyciel.

- Oczywiście! - odparła stanowczo Orissa. - I żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej!

Pokład trzeciej klasy mieścił się na dole w tyle statku. Przejścia były tam bardzo wąskie, a kabiny znacznie mniejsze niż w pierwszej klasie. Kajutę przeznaczoną dla czterech osób zajmował pan Mahla z żoną oraz sześcioro dzieci. Zona pana Mahli leżała na koi. Trzymając się za brzuch, kobieta usiłowała wstać, by przywitać Orissę.

- Proszę się nie ruszać! - powstrzymała ją ręką Orissa. - Wiem, że jest pani chora. Przyniosłam lekarstwa od doktora, które, mam nadzieję, pomogą pani poczuć się lepiej.

- Mam straszne bóle - jęknęła pani Mahla. - Umrę, zanim dopłynę do domu.

- Obiecuję pani, że do tego nie dopuszczę! - przyrzekła jej Orissa. - Proszę pomyśleć o swoich dzieciach!

Stojące obok małe dzieci zaczęły nagle płakać. Orissa podała chorej lekarstwo i nakazała dzieciom zachowanie ciszy. Przygotowała im trochę ciepłego mleka i pomogła ułożyć się do snu na rozłożonych na podłodze kocach. W końcu uprzątnęła z grubsza kabinę.

- Nie wiem, jak pani dziękować - powiedział pan Mahla. - Zaprowadzę panią teraz z powrotem na górę.

- Nie - odrzekła. - Jest już za późno na lekcję. Proszę zostać przy żonie i dzieciach. Sama trafię na swój pokład.

- Niech pani los wynagrodzi dobre serce - szepnął pan Mahla, kłaniając się przed Orissą i dotykając czoła opuszkami palców.

Orissa uśmiechnęła się i wyszła.

Było gorąco. Gdy po kilku minutach wspięła się stromymi schodami na pokład drugiej klasy, usłyszała przed sobą głośny, męski śmiech oraz rozmowę prowadzoną po angielsku. W jej stronę zmierzali trzej młodzi, brytyjscy żołnierze.

Kiedy zbliżyli się do niej, spostrzegła, że są pijani. Nie mogła w żaden sposób uniknąć spotkania z nimi. Szła więc równym, spokojnym krokiem, mając nadzieję, że rozstąpią się, by zrobić jej miejsce w wąskim przejściu. Żołnierze jednak zatrzymali się tuż przed Orissą.

- Co my tu widzimy? - wybełkotał jeden z nich. - Chyba coś bardzo ładnego...

- Gdzie się ukrywałaś przed nami, ślicznotko? - zawtórował mu drugi.

- Proszę pozwolić mi przejść! - Orissa odezwała się cicho i z godnością.

- O nie! - powiedział trzeci żołnierz, pokazując zęby w szerokim uśmiechu.

- Najpierw dowiemy się, kim jesteś.

Okrażyli Orissę, podchodząc bliżej.

- Proszę pozwolić mi przejść... - powtórzyła, lecz tym razem jej głos był zupełnie pozbawiony stanowczości.

Ogarnął ją lęk.

- Dokąd tak ci spieszo? - zdziwił się pierwszy z żołnierzy. - Kto wie, może przepuścimy cię, jeżeli będziesz dla nas miła. Odkąd wypłynęliśmy z Tilbury, nie mieliśmy okazji spotkać takiej ślicznej lali, no nie chłopcy?

- Pewnie! - przyznał drugi. - Dasz każdemu po buziaku i pozwolimy ci przejść...

Orissie serce zamarło ze zgrozy. Korytarz był całkiem pusty. Nawet gdyby ktoś usłyszał jej krzyk, wątpiła, czy pośpieszyłby jej z pomocą, widząc trzech rośłych, pijanych, młodych mężczyzn pochylających się nad nią.

- No więc? - zniecierpliwiał się pierwszy żołnierz. - Buziak dla każdego z nas i już cię puszczamy, chyba że masz ochotę zabawić się z nami dłużej...

Zdesperowana Orissa otworzyła właśnie usta, by zacząć wzywać pomocy, gdy usłyszała za sobą znajomy stanowczy głos:

- Co się tu dzieje?

Orissa poczuła, że ma ochotę wykrzyknąć z radości i ulgi.

- Wracać do swoich kajut! Natychmiast! - rozkazał major Meredith żołnierzom, którzy w milczeniu usiłowali zachować postawę na baczność przed wojskowym starszym rangą.

Po krótkiej chwili ruszyli niepewnym, chwiejnym krokiem, wymijając ostrożnie Orissę i majora.

Orissa zerknęła w oczy majorowi, po czym szybko ruszyła przed siebie. Była świadoma, że major podąża tuż za nią. Jej serce biło jak oszalałe ze zdenerwowania, ale jednocześnie odczuwała ogromną ulgę, że choć raz zjawił się przy niej we właściwej chwili. Szedł dosłownie krok za nią, a kiedy

zrównał się z nią, zapytał głosem tak pełnym pogardy, że Orissie zaparło dech w piersi:

- Co porabiała pani na dolnym pokładzie? A może nie powinienem o to pytać?

A więc sądził, że poszła tam flirtować z panem Manią. Orissę ogarnęła znów złość granicząca niemal z furią i nagle poczuła, że słabnie. Pomyślała, że musiało to być spowodowane upałem, nieoczekiwanym, niemiłym spotkaniem z trzema żołnierzami, a także faktem, że nie spała całą noc i w ciągu dnia prawie nic nie jadła.

Czuła, jak pogrąża się powoli w ciemnościach. Wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się poręczy i usiłowała coś powiedzieć, lecz z jej ust wydobyły się tylko nieartykułowane dźwięki. Wiedziała, że upada, zanim jednak straciła całkiem równowagę, major pochwycił ją w ramiona niczym małe dziecko i zaniósł na rękach do salonu, gdzie delikatnie posadził na wygodnym fotelu.

Orissa z ulgą opuściła głowę na miękkie oparcie fotela i zamknęła oczy. Była na pół przytomna. Dźwięki dobiegały do niej jakby z oddali. Słyszała głos majora wydającego komuś polecenia, a kilka chwil później poczuła, że przyłożył jej szklanekę do ust.

- Proszę to wypić! - usłyszała. Chciała odmówić, ale w jego głosie było coś tak władczego, że posłusznie przełknęła łyk, czując, jak piekący płyn spływa jej do gardła. To było okropne uczucie, ale gdy spróbowała odepchnąć szklanekę, major rozkazał:

- Jeszcze trochę!

- Przepraszam... za... kłopot - wyszeptała z wysiłkiem.

- Proszę nie wstawać! - zakomenderował major Meredith. - Jeszcze trochę cierpliwości i poczuje się pani całkiem dobrze.

Orissa odzyskała zupełnie jasność umysłu. Czuła, że na jej policzki występują gorące wypieki. Nie było jej jednak duszno, odwrotnie, teraz jej ciało ogarnął przejmujący chłód. Major Meredith, jakby wiedząc o tym, delikatnie rozcierał jej palce w swoich dłoniach.

- Zaraz wszystko wróci do normy! - zapewnił.

Rzeczywiście, po kilku minutach Orissa poczuła się na tyle silna, by móc sama wrócić do swojej kabiny. Cofnęła dłonie z rąk majora, otworzyła oczy i odezwała się normalnym głosem:

- Dziękuję, bardzo dziękuję i... przepraszam, że sprawiłam panu kłopot.

- Nie ma za co - odparł. - Jednak wydawało mi się, że stać panią na więcej rozsądku...

Orissa wstała i niepewnie podeszła w towarzystwie majora do drzwi, które przed nią otworzył, po czym razem wyszli na korytarz.

- Jeszcze raz dziękuję - szepnęła, nie patrząc na niego.

Odwróciła się, by odejść, gdy z dużego, gwarne go salonu nieoczekiwanie wyszedł doktor Thompson.

- O, pani Lane! - zawołał wesoło. - Jak ma się pani pacjentka? Pastyłki już zadziałały?

Orissa wyczuła, że major zeszytywniał po tych słowach doktora.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Pani Mahla śpi już, a przedtem połknęła dwie łyżeczki mikstury, którą jej pan zalecił. Mam nadzieję, że jutro poczuje się lepiej.

- Ja również mam taką nadzieję! - doktor Thompson uśmiechnął się beztrosko do Orissy, a następnie zwrócił się do majora: - Witam pana, majorze Meredith. Jak pan widzi, mam w osobie pani Lane doskonałą pielęgniarkę...

Orissa podążyła do swojej kajuty, nie słuchając dalszego ciągu ich rozmowy.

Zamykając cicho drzwi swojej kabiny, pomyślała, że przynajmniej tym razem to major będzie czuł się zawstydzony. Teraz wreszcie zrozumie, że wszystkie jego podejrzenia i zuchwałe insynuacje okażą się bezpodstawne. Jednak cokolwiek powie majorowi doktor, nie wytłumaczy to faktu, że tak łatwo pozwoliła się pocałować.

Stała w zamyśleniu na środku kajuty, kiedy dobiegło ją bardzo ciche pukanie w drzwi. Nacisnęła ostrożnie klamkę i w progu ujrzała majora Mereditha.

- Muszę z panią porozmawiać - odezwał się stanowczo.

- Nie, to niemożliwe! - odparła. - Jest zbyt późno, poza tym...

Orissa zerknęła na korytarz.

- Generał jest z żoną w salonie - ubiegł ją major, jakby czytał w jej myślach. - Muszę z panią porozmawiać. Muszę prosić panią o wybaczenie. Właśnie dowiedziałem się, że pan Mahla jest pani nauczycielem.

- Przyjmuję przeprosiny - odrzekła - a teraz...

Orissa zamierzała zamknąć drzwi, lecz major przytrzymał je ręką.

- Pani słowa nie zabrzmiały jak rozgrzeszenie... - zauważył, a jego oczy uśmiechały się z rozbawieniem.

- Jestem zmęczona - odrzekła. - Chciałabym położyć się już spać, jeśli pan pozwoli. Nie powinien pan stać w drzwiach i rozmawiać ze mną o tej porze...

- Chyba nie jest aż tak późno, by musiała się pani obawiać o swoją reputację? - podchwycił major.

Orissie wydawało się, że była to aluzja do jej nocnej wizyty w koszarach.

- Proszę zostawić mnie w spokoju! - szepnęła stanowczo. - Nie mamy sobie więcej nic do powiedzenia!

Czuła, że major jest nieco zakłopotany jej determinacją. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w korytarzu rozległy się czyjeś głosy. Cofnął rękę, spoglądając w bok. Orissa skorzystała z tej okazji i natychmiast zamknęła drzwi, przekręcając klucz w zamku.

Położyła się z ulgą na koi. Meredith przeprosił ją tylko za jedno błędne posądzenie, jednak wciąż nie wiedział, że niesprawiedliwie osądza jej nocną wizytę w koszarach.

- I nigdy nie dowie się prawdy! - szepnęła do siebie z rozpaczą.

Nazajutrz zerwał się silny wiatr i „Dorunda” pomknęła w dalszą drogę pod pełnymi żaglami.

- Powinniśmy dopłynąć do Bombaju o czasie - stwierdził z satysfakcją generał, siadając przy małym stoliku na krytym pokładzie obok Orissy, która przyprowadziła Neila do dziadków po śniadaniu.

Było bardzo gorąco. Włożyła jedną z lekkich sukienek z muślinu, które uszyła sobie na statku. Orissa wyglądała w niej bardzo świeżo i młodo w świetle jasnego poranka.

- Pewnie cieszy się pani na myśl o spotkaniu z mężem, pani Lane - zauważyła lady Critchley.

- O... tak - odparła Orissa.

- Będzie czekał na panią w Bombaju?

- Mam nadzieję... że tak - odpowiedziała.

- Wobec tego już powinniśmy podziękować pani za opiekę nad wnukiem - powiedziała generałowa. - Wydaje mi się, że Neil wygląda lepiej, odkąd zatroszczyła się pani o niego.

- Dziękuję - odrzekła Orissa, zdumiona życzliwością lady Critchley. Wzięła chłopca za rękę i skierowała się na odkryty pokład.

Kiedy oddaliła się od generała i jego żony, dobiegły do niej niesione wiatrem słowa lady Critchley:

- To naprawdę przyzwoita, młoda kobieta. Orissa nie mogła powstrzymać rozbawienia na myśl o tym, jak byłaby oburzona lady Critchley, gdyby wiedziała, że owa młoda, przyzwoita kobieta tak łatwo dała się pocałować majorowi Meredithowi. Zaraz jednak jej uśmiech zbladł - wołałaby, żeby to major Meredith usłyszał te słowa pochwały.

Wraz ze zbliżającym się końcem podróży Orissa zaczęła się zastanawiać, czy nie zrezygnować z narzuconej sobie zasady unikania spotkań z majorem Meredithem i schodzić do jadalni przynajmniej raz w ciągu dnia, na kolację. Niestety, czuła, że nie wytrzymałaby jego badawczego, przenikliwego spojrzenia. Myśl o tym, że major nigdy nie dowie się, jak bardzo mylnie ją oceniał, podsunęła Orissie inną: czy pocałowałby ją, gdyby spotkali się nie wieczorem, przy świetle gwiazd, lecz w zupełnie innych okolicznościach? Wydało jej się to mało prawdopodobne. Sadziła, że tamtej nocy major nie potraktował ani jej, ani swego pocałunku poważnie, lecz po prostu skorzystał z nadarzającej się okazji. Nie mógł żywić do niej żadnego głębszego uczucia.

Orissę wciąż męczyło jeszcze jedno pytanie: czy major Meredith zechciałby pocałować ją teraz jeszcze raz? Wspomnienie poczucia bezpieczeństwa, a także uniesienia, które wstrząsnęło jej ciałem, gdy trzymał ją w ramionach, powracało do niej wciąż żywiej. Czyżby ta niezapomniana, niezwykła i cudowna chwila w jej życiu była jednocześnie nic nie znaczącym epizodem w życiu majora? Czy była tylko jedną z wielu kobiet, które całował i o których zapomniał, tak jak zapomni o niej, gdy zejdzie na ląd?

Myśl ta wprowadziła Orissę w dziwne i niezrozumiałe dla niej przygnębienie. Nie pojmowała, dlaczego, mimo że czuła do majora Mereditha nienawiść z powodu jego impertynencji i pewności siebie, jednocześnie chciała pozostać na zawsze w jego pamięci. „Ponieważ był to twój pierwszy pocałunek!” próbowała wytłumaczyć sobie siłę tego pragnienia, lecz była świadoma, że nikt nigdy nie wywołałby w niej swoim pocałunkiem tak ogromnego, zapierającego dech w piersi uniesienia, jak major Meredith.

Jutro opuści pokład statku. Wszystkie znajome twarze rozpląną się jak we mgle, wszystkie... z wyjątkiem jednej... Nigdy nie zapomni majora Mereditha ani jego pocałunku, chociaż z pewnością nie spotka go już więcej. Orissa wiedziała, że każdy kolejny pocałunek będzie porównywała z tym, co czuła, gdy jej ust dotknął major Meredith.

Była to jej ostatnia noc na „Dorundzie”. Po kolacji postanowiła pójść do płatnika po kilka nalepek na bagaże. Była pewna, że wszyscy pasażerowie, łącznie z majorem, zgromadzeni są o tej porze w jadalni przy posiłku, więc odważnie wyszła na korytarz. Zdażyła zrobić zaledwie parę kroków, gdy niespodziewanie ujrzała przed sobą zbliżającego się majora Mereditha. Jej serce na moment znów zamarło. „Nie mogę z nim teraz rozmawiać!” pomyślała w panice, lecz nie było już możliwości uniknięcia tego spotkania.

- Waśnie zmierzałem do pani kajuty, pani Lane - powiedział major.

Zatrzymał się na środku korytarza. W milczeniu, nieśmiało spojrzała w jego oczy.

- Pani mąż, jak sędzę, oczekuje pani w Bombaju?
- Mam taką nadzieję... - odpowiedziała z trudem.
- Czy mógłbym być pani w czymś pomocny, zanim zejdziemy na ląd?
- Nie, dziękuję. Niczego mi nie potrzeba. Ich rozmowa była bardzo konwencjonalna.

Orissa miała wrażenie, że umyślnie oboje unikali tego, co naprawdę chcieli sobie powiedzieć. Poczuła, że ogarnia ją nagle szalone pragnienie zarzucenia majorowi ręk na szyję, poproszenia, żeby jeszcze raz, ostatni raz ją pocałował. Wydawało jej się, że zanim się rozstana, musi się przekonać, czy uczucie, które w niej wzbudził ten mężczyzna, nie jest snem lub urojeniem.

Sekundę później przypomniała sobie jednak, że przecież major Meredith pogardza nią nadal. Nie patrząc w jego twarz, z wysiłkiem zmusiła się do wyciągnięcia ręki i powiedziała słabym głosem:

- Żegnam pana, majorze Meredith. Silna ręka zacisnęła się na jej dłoni i ciało Orissy znów przeszły niezwykle dreszcz.

- Do widzenia, pani Lane. Życzę pani, by znalazła pani w Indiach szczęście.

- Dziękuję...

Orissie zdawało się, że major już nigdy nie wypuści jej ręki z uścisku. Stała jak sparaliżowana, nie śmiąc spojrzeć mu w oczy. W końcu raptownie cofnął dłoń i odszedł równie nieoczekiwanie, jak się pojawił, a Orissa poczuła, że zabrał ze sobą jakby część jej samej.

Rozdział piąty

Hałas i krzątanina w porcie w Bombaju były oszałamiające. Pasażerowie, schodząc z pokładu „Dorundy”, powoli wtapiali się w tomy smagłych Hindusów przewijających się przez nabrzeże. Wszędzie wokół piętrzyły się sterty bagaży, dzieci krzyczały, mężczyźni nawoływali się.

Steward, zniósłszy bagaże Orissy ze statku, znalazł jej dość szybko kulisa. Orissa łudziła się, że jeśli nie wuj, to przynajmniej któryś z jego oficerów zjawi się, by odebrać ją z portu.

Stała kilka minut na nabrzeżu, by sprawdzić, czy ktoś jej nie szuka w tłoku. Wdychała z rozkoszą ciepłe powietrze, które niesło od lądu słodkie i orzeźwiające zarazem zapachy, i pochłaniała wzrokiem widok kolorowych straganów stłoczonych w zaułkach. Gorące, oślepiające słońce zdawało się penetrować każdy zakątek portu, nawet zadaszone molo.

- Czy ktoś zjawi się, żeby odebrać panią z portu?

Orissa nie była zaskoczona tym spotkaniem, jakby się go spodziewała.

- Ma na mnie czekać powóz przy wyjściu - skłamała bez wahania.

Miała wrażenie, że major Meredith usiłował dowiedzieć się o niej i jej życiu czegoś więcej. Wyraźnie chciał przekonać się, czy nie będzie zdana na samą siebie w Bombaju i przy okazji poznać jej mitycznego męża! Przez chwilę wydawało jej się nawet, że major zamierza poprosić o pozwolenie towarzyszenia jej do wyjścia. Przestraszona tą perspektywą, szybko wyciągnęła do niego rękę, mówiąc:

- Jeszcze raz żegnam pana, majorze.

- Może jeszcze kiedyś spotkamy się w Bombaju - uśmiechnął się. - Często bywam w tym mieście.

- To mało prawdopodobne! - odrzekła oschle, po czym czując, że niepotrzebnie jest w stosunku do niego niegrzeczna, dodała: - Mój... mąż... i ja... nie utrzymujemy zbyt wielu kontaktów towarzyskich.

- W takim razie nie będę próbował narzucać państwu swojego towarzystwa - odparł z rozbawieniem w oczach.

Wiedziała, że dostrzegł jej rozpaczliwe wysiłki uwolnienia się od jego osoby. Na szczęście z kłopotliwej sytuacji wybawiła ją olbrzymia platforma z bagażami, która nieoczekiwanie pojawiła się za nimi. Orissa, korzystając z zamieszania, wtopiła się w tłum i podążała do wyjścia, nie zwracając uwagi na majora. „Może nareszcie pozbędę się jego towarzystwa na zawsze!” przemknęło jej przez głowę, lecz myśl ta nie sprawiła jej ani oczekiwanej ulgi, ani przyjemności.

Kulis zdążył już załadować jej bagaże na jeden z powozów zwanych tu gharri. Orissa wręczyła mu napiwek i usadowiła się pod wysoką markizą za woźnicą.

- Dokąd jedziemy, memsahib? - zapytał Hindus.

- Na dworzec Królowej Wiktorii - odpowiedziała. - Tylko proszę pojechać okreśną drogą wzdłuż wybrzeża.

Orissa była kilka razy w Bombaju, kiedy żyła jeszcze jej matka. Widoki, które mogła teraz podziwiać przypominały jej szczęśliwe dzieciństwo. Z rozpromienioną twarzą chłoneła każdy szczegół starych zakątków Bombaju i jednocześnie podziwiała nowe, okazałe budynki, które świadczyły o rozbudowie miasta. Zdawało jej się, że pół godziny, które trwała droga z portu na dworzec Królowej Wiktorii, przemknęło jak jedna, krótka chwila.

Tłumy wypełniające dworzec, a także plac wokół niego, były większe niż w porcie. Można było odnieść wrażenie, że trwa tu jakiś wielki festyn. Całe rodziny hinduskie koczowały na trawnikach w oczekiwaniu na swój pociąg. Wokół małych ognisk przygotowywano posiłki, bawiono się i rozmawiano.

Orissa stanęła w niedługiej kolejce do kasy i poprosiła o bilet pierwszej klasy do Delhi.

- O której odjeżdża pociąg? - zapytała.

Okazało się, że właśnie spóźniła się na przedpołudniowy, pośpieszny pociąg i teraz będzie musiała poczekać na wieczorny, który jedzie dłużej.

Orissy to nie zmartwiło. Wokół dworca działo się tyle ciekawych rzeczy, że nie powinna się nudzić. Młody bagażowy zaopiekował się jej kuframi, więc mogła usiąść na wygodnej ławce w cieniu dworcowego dachu i oddać się obserwacji tłumu podróżnych, handlarzy i przechodniów. Popijając mleko kokosowe wprost z orzecha, który kupiła od wędrownego sprzedawcy owoców, z przyjemnością przyglądała się bajecznie kolorowym ubiorom ludzi i straganom uginającym się pod ciężarem rozmaitych towarów. Przezornie odmówiła kupna herbaty i chłodzących napojów owocowych, nie będąc pewną, czy woda użyta do ich sporządzania nadaje się do picia.

Kiedy w końcu późnym popołudniem wjechał na stację jej pociąg, Orissa odczekała, aż hałaśliwy tłum pasażerów wsiądzie do przedziałów, po czym odszukała swego bagażowego. Młody chłopak stał przy wejściu do wagonu oznaczonego tabliczką „Tylko dla pań”, gdzie zajął dla niej miejsce przy oknie i umieścił kufry na wysokiej półce.

Podczas rejsu „Dorundą” nie wydała ani grosza, poza tym, że opłaciła lekcje języka urdu, które zresztą nie kosztowały dużo. Wprawdzie miejsce w pierwszej klasie w pociągu do Delhi było drogie, ale pocieszała się, że u kresu

podróży będzie czekał na nią wuj Henry, więc nie wyda już ani pensa na powóz czy na bagażowego. Resztę pieniędzy, które dał jej na drogę Karol, postanowiła zatem przeznaczyć na skompletowanie swej garderoby.

Gdy pułk wuja przeniesie się bardziej na północ, będą jej tam potrzebne bardziej praktyczne niż szykowne suknie, ale w Delhi z pewnością odwiedzali pułkownika Hobarta wysocy urzędnicy cywilni i wojskowi wraz z żonami, więc nie mogła przynieść mu wstydu swym wyglądem. „Kiedy tylko zadomowię się u wuja, rozejrzę się po bazarach” - przyrzekła sobie w duchu, sadowiąc się na wygodnym fotelu w przedziale. „Tam zawsze można znaleźć piękne i niedrogie tkaniny!”

Przedział wkrótce się wypełnił. Zasiadły w nim trzy żony oficerów brytyjskich, które odnosiły się do siebie i otoczenia z typowo angielską zabawną rezerwą, oraz chuda posepna misjonarka. W ostatniej chwili do pociągu wsiadła też tęga, mała kobieta, prawdopodobnie żona jakiegoś biznesmena. Rozparłszy się wygodnie na swoim miejscu, zamknęła oczy i zapadła w beztróską drzemkę.

Żony oficerów przez pewien czas posyłały Orissie ciekawe spojrzenia, jednak żadna z nich nie zdradzała najmniejszej ochoty do podjęcia z nią rozmowy. Orissa uśmiechnęła się do nich i z zadowoleniem odwróciła głowę, skupiając całą uwagę na roztaczającym się za oknem niezwykle pięknym krajobrazie. Po czterech godzinach jazdy Orissa poczuła się głodna i spragniona. Wyszła więc na peron jednej ze stacyjek, na której pociąg miał kolejny, krótki postój, i za drobną sumę kupiła od handlarza ulicznego trochę owoców, dwa jajka ugotowane na twardo oraz serowe placki.

Zapadający powoli zmierzch uniemożliwił podziwianie widoków za oknem. Nieco zmęczona dłużącą się podróżą, Orissa postanowiła zatem zdrzemnąć się. Zasypiała właśnie, marząc o letniej kąpieli i świeżym, nie zakurzonym ubraniu, kiedy głośny pisk kół pociągu obudził ją, oznajmiając wszystkim kolejny postój. Wyjrząwszy przez okno, Orissa spostrzegła na słabo oświetlonej stacji kilka rasowych, arabskich koni. Zwierzęta jechały teraz do Delhi, do stacjonującego tam pułku.

Z przejęciem i radością Orissa pomyślała, że kiedy tylko dotrze do wuja Henry'ego, będzie mogła znów dosiąść konia. Nieoczekiwanie przemknęło jej przez myśl, że major Meredith musi być wyjątkowo dobrym jeźdźcem, choć nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego tak sądziła. Być może było coś w jego delikatnych, a zarazem pewnych dłoniach, czy pełnych sprężystości ruchach, co sugerowało, że musiał być mistrzem w siodle...

Ponownie zamknęła oczy i spróbowała zasnąć, lecz jej myśli powróciły do chwili, gdy major całował ją na pokładzie „Dorundy” w rozgwieżdżoną noc. Wciąż pamiętała, jak bezpiecznie czuła się wówczas w jego ramionach, a potem drugi raz, gdy niósł ją omdlewającą do salonu.

„Niestety, nie zobaczysz go już nigdy więcej!” - westchnęła w duchu. „To był tylko epizod w twoim życiu i im szybciej o nim zapomnisz, tym lepiej dla ciebie!”

Prawie przez dwa dni pociąg przemierzał wolno rozległe tereny Indii. Wraz ze zbliżającym się końcem podróży w Orissie ożyły na nowo wspomnienia z dzieciństwa. Z radością pomyślała, że podczas pobytu w Delhi u wuja Henry'ego będzie mogła nareszcie zwiedzić dokładnie to stare, zabytkowe miasto o tysiącletniej historii.

Zanim pociąg wjechał na stację w Delhi, była już gotowa do opuszczenia przedziału.

W podnieceniu rozejrzała się wokół siebie. Gdyby ktoś zjawił się po nią, z pewnością łatwo odnalazłby wagony pierwszej klasy. Orissa czekała więc cierpliwie. Niestety, oprócz kulisów nikt do niej nie podszedł. Po kilku minutach oczekiwania doszła do wniosku, że Karol prawdopodobnie zapomniał wysłać telegram uprzedzający wuja Henry'ego o jej przyjeździe i zdecydowała się wydać polecenie, by wyniesiono jej kufry na peron.

Stała przy nich bezradnie, robiąc sobie w duchu wymówki. Wyruszyła w tę podróż tak szybko i beztrosko, że zapomniała zupełnie zapytać brata o adres koszar, w których stacjonował pułk wuja. W Delhi przebywało wielu brytyjskich żołnierzy, więc musiało być tu co najmniej kilka miejsc przeznaczonych na ich zakwaterowanie.

Nagle dostrzegła żołnierza w mundurze Royal Chilterns. Był to wysoki, dumny Sikh z bujną kręconą brodą, o gęstych brwiach złączonych nad orlim nosem.

- Przepraszam, sierżancie - Orissa zwróciła się do niego z uśmiechem. - Czy może został pan wysłany przez pułkownika Hobarta, by odebrać mnie z dworca? Jestem lady Orissa Fane.

Hindus zasalutował jej z szacunkiem, dotykając palcami wysokiego turbana, po czym odpowiedział łamaną angielszczyzną:

- Nie, memsahib. Ja czekać na pociąg.
- A może mógłby mi pan powiedzieć, gdzie w Delhi znajdę pułkownika Hobarta?

- Pułkownik Hobart nie być w Delhi, memsahib - odparł sierżant.

- Nie ma go w Delhi?! - wykrzyknęła Orissa z rozpaczą w głosie. - Ale... jestem jego krewną i przybyłam tu aż z Londynu...

- Pułkownik i jego batalion być wysłani do Shuby, memsahib.

Wyraz oczu Orissy wskazywał, że nie ma ona pojęcia, gdzie znajduje się Shuba, więc sierżant wyjaśnił:

- Shuba być na granicy, za Peszawarem. Oni pojechać tam tydzień temu. Tam być duży kłopot. Ja też tam teraz jechać i przyłączyć się do nich.

Zaskoczona Orissa stała w milczeniu, wpatrując się w sierżanta. Wcale nie wzięła pod uwagę tego, że wuj Henry może nieoczekiwanie opuścić Delhi, a powinna była to zrobić! Przecież major Meredith wspominał, że na północnej granicy są coraz większe problemy.

Zaczęła gorączkowo zastanawiać się, co robić. W Delhi z pewnością zostały żony żołnierzy, którzy wyjechali razem z wujem. Mogła zatem zwrócić się do nich o pomoc. Również głównodowodzący oddziałami brytyjskimi w Indiach musiał mieć swoją siedzibę w Delhi i mógł jej poradzić, gdzie może zatrzymać się w mieście do czasu powrotu wuja Henry'ego. Niestety, obie ewentualności nie wchodziły w rachubę. Orissa dobrze wiedziała, jak bardzo kłopotliwe byłoby wytłumaczenie powodów jej niespodziewanego przybycia do Indii, a także faktu, że podróżuje bez przyzwotki. Czy mogła przyznać się do tego, że okłamywała generała Critchleya i jego żonę, udając zamężną kobietę? Wiedziała, jak szybko rozchodzą się plotki.

Chaotyczne myśli przelatowały przez chwilę przez głowę Orissy, aż nagle jej oczy rozbłysły nadzieją.

- Czy powiedział pan, że jedzie przyłączyć się do żołnierzy będących pod dowództwem mojego wuja?! - zapytała.

- Tak, memsahib - odrzekł sierżant. - Ja być w jego pułku, ale być chory i dopiero teraz przyłączyć się do nich.

- W takim razie jadę z panem! - zdecydowała Orissa.

- Ze mną, memsahib?!

- Tak! - powiedziała stanowczo. - Odeskortuje mnie pan do pułkownika, sierżancie. Wuj na pewno wyjechał z Delhi, zanim dotarł do niego telegram z informacją o moim przyjeździe, w przeciwnym razie zostawiłby tu kogoś, kto zaopiekowałby się mną.

- Ale, memsahib... - zaczął nieśmiało sierżant.

- Nic innego nie mogę zrobić! - przerwała mu Orissa. - Wiem, że wuj nie życzyłby sobie, bym przebywała w Delhi sama. Chyba pan rozumie...

- O tak! Ale damy, znajome pułkownika, pewnie być chętne zaopiekować się memsahib...

- Muszę dotrzeć do mojego wuja! Proszę zrozumieć, że muszę zobaczyć się z nim jak najszybciej! - oświadczyła stanowczo, po czym zapytała niecierpliwie: - Kiedy odjeżdża pociąg do Shuby?

- Za godzinę, memsahib.

- Doskonale! Proszę zatem kupić mi bilet. Orissa sięgnęła po sakiewkę i na moment zawahała się. Domyślała się, że podróż do Shuby będzie długa i droga.

- Proszę kupić bilet drugiej klasy - powiedziała po chwili.

- Drugiej klasy, memsahib...? - zdziwił się sierżant.

W Indiach brytyjska szlachta podróżowała pierwszą klasą. Druga przeznaczona była dla bogatych i szlachetnie urodzonych Hindusów, którzy mogli sobie pozwolić na taki komfort, w trzeciej podróżowali Brytyjczycy mniej znaczący w hierarchii społecznej - na przykład handlowcy, w czwartej zaś, stłoczona na twardych drewnianych ławkach - uboga większość ludności Indii.

Orissa nie miała pojęcia, jak daleko od Delhi znajduje się Shuba, ale była przekonana, że kiedy tam już dotrze, nie będzie jej stać więcej na żadną podróż, może jedynie na zapłacenie przejazdu z dworca do domu wuja.

- Tak, sierżancie! Proszę mi kupić bilet drugiej klasy! - powtórzyła zdecydowanie, wręczając mu portmonetkę.

Nie wahała się powierzyć sierżantowi wszystkich swoich oszczędności. Wiedziała bowiem, że Hindusi, którzy dostępowali zaszczytu służenia pod dowództwem Brytyjczyków, i to w randze wyższej od szeregowego, musieli odznaczać się nieskazitelną uczciwością. Mogła mu więc zaufać całkowicie.

Kiedy sierżant wrócił z biletem, Orissa zostawiła bagaże pod jego pieczęcią, a sama szybko skierowała się do poczekalni dla dam, gdzie odnalazła toalety oraz miejsce, gdzie mogła się umyć. Rozczesała włosy i upięła na nowo włosy, po czym strzepnęła wilgotną chusteczką kurz z sukni i z ulgą zerknęła w lustro. Nareszcie była znów czysta i mogła wyruszyć w dalszą drogę!

Czekający na nią na peronie sierżant prezentował się bardzo dystyngowanie w idealnie skrojonym mundurze i błękitnym, sikhijskim turbanie na głowie. Orissa pomyślała z satysfakcją, że jego towarzystwo w podróży wybawi ją od podejrzliwych spojrzeń i pytań, na które mogłaby być narażona ze strony angielskich urzędników, gdyby była zmuszona podróżować sama. Jej hinduski opiekun z gorliwością podjął się roli, którą mu narzuciła i kiedy tylko nadjechał pociąg, przypilnował kulisa, by znalazł

Orissie miejsce przy oknie w przedziale drugiej klasy oraz zajął się jej bagażami. Upewniwszy się zaś, że Orissa siedzi wygodnie w przedziale dla kobiet, udał się do swojego wagonu.

Wszystkie współpasażerki Orissy były Hinduskami o ciemnych cerach i niezwykle regularnych rysach.

Naprzeciw Orissy siedziała niewysoka, piękna, młoda kobieta, mająca na sobie mnóstwo kosztownej biżuterii. Należała do niej spora liczba bagaży. Gdy pociąg ruszył, kobieta zaczęła je poprawiać na wysokiej półce, żeby nie pospadały. W zaaferowaniu nie zauważyła, kiedy nadepnęła sobie na dolną część swojego różowego sari i podnosząc do góry rękę, rozerwała strój.

- Jaka szkoda! To piękne sari! - powiedziała ze współczuciem Orissa w języku urdu. - Proszę pozwolić mi je zaszyć!

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona i zanim zdążyła wyrazić zgodę, Orissa szybko wyszperała z podręcznego bagażu przybory do szycia, po czym zabrała się do reperowania sari. Po kilku minutach na rozdartym ubraniu pięknej Hinduski nie można było dostrzec nawet śladu szwu.

- Zrobiła to pani doskonale! - zawołała z radością właścicielka sari. - Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co - uśmiechnęła się Orissa i włączyła się w swobodną rozmowę kobiet.

Okazało się, że Hinduska, której Orissa pomogła zszyć sari, należy do wyznawców mazdaizmu, parsów, przybyłych do Indii w ósmym wieku z Persji. Orissa dowiedziała się również, że parsowie mieszkający w Indiach są bardzo zamożni, wykształceni i prawie wszyscy dobrze władają językiem angielskim! Parsytka z przedziału Orissy posiadała w Bombaju własny sklep z ubraniami, a wśród jej klientek były zarówno najbogatsze w mieście Hinduski, jak też Angielki, znała się zatem dobrze również na modzie europejskiej.

- Pani suknia jest także piękna - zwróciła się do Orissy, przyglądając się jej ubiorowi.

- Dziękują, sama ją uszyłam - ucieszyła się Orissa.

Po upływie dwóch godzin wszystkie panie z przedziału Orissy niemal się zaprzyjaźniły.

Atmosfera swobody i otwartości sprawiła, że podróż nie dłużyła się jej tak bardzo, jak w towarzystwie chłodnych, milczących Angielek w drodze do Delhi. Tuż przed zapadnięciem nocy przedział opuściły trzy kobiety. Było teraz dość miejsca, by Orissa mogła rozprostować nogi, a nawet oprzeć je na przeciwnym siedzeniu. Parsytka zdjęła z siebie drogie, przetykane złotą nitką

sari, zreperowane przez Orisę, i założyła na noc skromniejsze, z lekkiego materiału.

- Dziś w nocy będzie bardzo duszno - zwróciła się do Orissy. - Nie będzie pani wygodnie siedzieć w tej obfitej, europejskiej sukni. Wiozę ze sobą dużo przewiewnych sari i jeżeli wolno mi zaproponować, chciałabym pożyczyć pani na tę noc jedno z nich.

- To bardzo mile z pani strony - ucieszyła się Orissa.

Wszystkie kobiety zgromadzone w przedziale z zainteresowaniem śledziły wysiłki Orissy, która z braku miejsca lawirowała między ich nogami zdejmując z siebie z trudem suknię, gorset i halkę, by w końcu zostać w długich koronkowych majtkach i koszulce obnażającej jej dekolt oraz plecy. Rozbawienie i ciekawość na twarzach Hindusek zastąpił wkrótce wyraz satysfakcji i uznania, kiedy Orissa, włożywszy na siebie mały, obcisły stanik, jaki noszą kobiety w Indiach, zaczęła zwinnie owijać talię długim sari, a następnie przerzuciła je przez ramię. Nie było to proste, lecz dobrze pamiętała z czasów swego dzieciństwa, jak robiła to nieraz jej matka.

- Mogłaby pani być jedną z nas! - zauważyła z zachwytem jedna z jej współtowarzyszek podróży. - Zna pani język urdu, wie, jak się ubierać w nasze stroje, a pani uroda przypomina trochę naszą.

Orissa zerknęła szybko w przedziałowe lustro. „Rzeczywiście!” - pomyślała z rozbawieniem. „Teraz wyglądam tak, jakbym zupełnie zmieniła swoją tożsamość!” Sari, które miała na sobie, było lekkie, przewiewne i zarazem bardzo szykowne. Jego ciemnoczerwony kolor podkreślał głęboką czerń włosów, brwi i oczu Orissy. Gdyby znalazła się w tym stroju na ulicy jakiegoś miasta na północy Indii, trudno byłoby rozpoznać w niej Europejkę. Hinduski z pomocnych terenów odznaczały się bowiem jaśniejszą karnacją niż kobiety z południa. Mogłaby więc z powodzeniem uchodzić za jedną z nich.

W wygodnym sari Orissa mogła skulić się na swoim siedzeniu i przespać spokojnie noc. Niestety, prawie do rana nie zmrużyła oka z powodu gorąca. Dopiero o świcie zapadła w niespokojną drzemkę, z której wyrwał ją pisk kół zatrzymującego się pociągu.

Na zewnątrz było jeszcze szaro, a stacja nie była duża. Mimo to na peronie przewijały się nieprawdopodobne tłumy. Orissa spostrzegła przeciskającego się w tłoku eskortującego ją sierżanta. Pomachała mu ręką. Twarz sierżanta rozjaśnił uśmiech ulgi.

- Memsahib! - szepnął zdumiony, zbliżywszy się do okna Orissy. - Jak pani wygląda?! Nie poznałbym pani!

- Jest mi w tym ubraniu znacznie wygodniej - wyjaśniła rozbawiona Orissa.
- Muszę pani o czymś powiedzieć - ciągnął szeptem sierżant. - To coś bardzo ważnego!

Otworzył drzwi przedziału i Orissa wyszła na peron. Odeszli kilka metrów od pociągu w zaciszne miejsce.

- Co się stało? - zapytała zaniepokojona.

- Memsahib nie pojechać dalej niż do Peszawar - powiedział stanowczo sierżant. - Ja rozmawiać z oficerami w pociągu. Oni twierdzić, że na granicy być duże niebezpieczeństwo.

- Większe niebezpieczeństwo niż zwykle? - zdziwiła się Orissa.

- Tak, memsahib. Rosjanie być tuż przy granicy i podburzać tamtejsze plemiona.

Orissa zamilkła.

- Ja sądzić, memsahib - kontynuował sierżant - że kiedy pani dojechać do Peszawar, brytyjskie władze kazać pani wrócić do Delhi. Nie pozwolić jechać dalej ze mną.

- Ale ja muszę! Muszę spotkać się z wujem! - niemal wykrzyknęła Orissa i szybko dodała: - Proszę posłuchać, sierżancie! Nikt nie domyśli się, że jestem Brytyjką, jeżeli będę w sari. Każdy będzie sądził, że podróżuje pan z siostrą lub kimś innym z rodziny. Proszę powiedzieć, czy w tym ubraniu wyglądam na Angielkę?

- Nie, memsahib, tylko... pani musieć jeszcze mieć znak kasty na czole i podkreślić sobie oczy czarną kredką. Wtedy wyglądać całkiem jak hinduskie damy.

- Oczywiście! - przytaknęła Orissa. Sierżant zastanawiał się przez moment w końcu powiedział z rezygnacją:

- Zgoda! My mieć tylko nadzieję, memsahib, że nikt nie zadawać nam żadnych pytań w drodze.

- Ale jak dostaniemy się z Peszawaru do Shuby? - zapytała go Orissa.

- Ja wynająć gharri, jeżeli oczywiście ktoś zgodzić się je wynająć. Czasy być teraz niespokojne...

- A jeśli nie uda się panu znaleźć gharri, co wtedy?

- My pójść do Shuba pieszo.

- Czy to daleko od Peszawaru?

- Dwadzieścia mil.

Orissa westchnęła zrozpaczona. Jako Hinduska musiałyby maszerować w sandałach.

- Pani się nie martwić, memsahib - uśmiechnął się szybko sierżant. - Ja zrobić wszystko, żeby pani dotrzeć do Shuba. Pułkownik pewnie nie życzy sobie, żeby pani wracać sama do Delhi.

- Jestem przekonana, że wuj wolałby, żeby tak się nie stało - podchwyciła Orissa. - Proszę zaczekać, zaraz przyniosę panu moją sakiewkę. Jako Hinduska nie mogę przecież posiadać pieniędzy, podróżując pod opieką mężczyzny.

Orissa szybko wróciła do przedziału i po kilku chwilach wręczyła sierżantowi wszystkie swoje pieniądze.

- My dojechać do Peszawar za godzina - poinformował ją sierżant, po czym schował sakiewkę Orissy do kieszeni i skierował się do swojego wagonu.

Orissa pośpiesznie wsiadła do przedziału. Wszystkie jej współpasażerki spały nadal z wyjątkiem parsytki, którą obudziła zamykając drzwi.

- Muszę pani o czymś powiedzieć, ale nie chciałabym, żeby ktoś dowiedział się, o czym rozmawiamy, więc będę mówić po angielsku - zwróciła się do niej Orissa.

- Dobrze, tylko proszę mówić powoli - poprosiła ją parsytka.

- Jadę do mojego wuja, pułkownika Hobarta. Wojska, którymi dowodzi, stacjonują teraz w Shubie - zaczęła wyjaśniać jej Orissa. - Sierżant, który mnie eskortuje, twierdzi jednak, że w okolicach Shuby jest teraz bardzo niebezpiecznie i lepiej byłoby, gdybym przebrała się w sari, udając Hinduskę.

Orissa przerwała na chwilę, po czym dokończyła z zakłopotaniem:

- Czy mogłabym zatem zatrzymać pani sari? Obiecuję, że jeżeli zechce mi pani podać swój adres w Bombaju, zwrócę pani pieniądze za nie, kiedy tylko będę mogła.

- Proszę przyjąć ode mnie sari i nie myśleć wcale o zapłacie! - uśmiechnęła się parsytka. - Daję je pani w prezencie za pani życzliwość i okazaną mi pomoc!

- Nie mogą przyjąć tak drogiego prezentu! - sprzeciwiła się Orissa, po czym przez prawie dziesięć minut usiłowała przekonać parsytkę do swego zdania.

Rozbrojona uporem Orissy kobieta zgodziła się w końcu wziąć od niej w zamian za sarii parę białych rękawiczek z kozłej skóry, które zaofiarowała jej dziewczyna.

Orissa pożyczyła od parsytki również czarną kredkę, czerwoną szminkę, a także hennę w proszku. Podkreśliła sobie oczy kredką, szminką zrobiła dużą czerwoną kropkę na czole jako znak kasty, do której rzekomo przynależy. W końcu zatuszowała odrobiną henny biel dłoni i paznokci.

Tymczasem pozostałe współpasażerki zdążyły się już obudzić i wkrótce zostały wtajemniczone przez parsytkę w zamiary Orissy, z pominięciem jednak celu jej podróży oraz rangi i nazwiska jej wuja.

- Wszystkie Hinduski noszą mnóstwo biżuterii - zauważyła jedna z kobiet.
- To świadczy o naszej zamożności. Proszę przyjąć od nas po jednej bransoletce, żeby nie wyglądała pani na ubogą krewną sierżanta.

Orissa znów gorąco zaprotestowała, nie chcąc czuć się zobowiązana taką hojnością, lecz i tym razem ustąpiła. W rewanżu obdarowała kobiety tym, czym mogła: koronkowymi chusteczkami, jedwabnymi wstążkami i kawałkami muślinu, które pozostały jej po uszyciu sukien. Była to niezbyt, korzystna wymiana dla Hindusek, lecz Orissa pomyślała, że w zamian za ich życzliwość dostarczyła im przynajmniej ciekawego tematu do rozmów na co najmniej kilka dni.

Gdy pociąg wjechał na przedmieścia Peszawaru, Orissa mogła z satysfakcją spojrzeć w lustro, by podziwiać swe nowe wcielenie w całej krasie.

„A więc czas wyruszać w kolejną podróż, czy może raczej... czeka mnie naprawdę ryzykowna przygoda?” pomyślała, czując, że nagle przebiega ją zarazem dreszcz podniecenia i... strach.

Rozdział szósty

Kiedy Orissa ujrzała gharri, które zdobył dla nich sierżant, miała ochotę roześmiać się i rozplakać zarazem. Na czterech drewnianych, dużych kołach spoczywała drewniana skrzynia z deską pośrodku, jako siedzeniem dla dwóch ściśniętych blisko siebie osób. Nad skrzynią zawieszona była dykta służąca za markizę i jednocześnie ograniczająca i tak skąpą przestrzeń przeznaczoną na bagaże.

Po przybyciu do Peszawaru sierżant poprosił ją, by zostawiła przy sobie tylko najniezbędniejsze rzeczy. Resztę sporego bagażu Orissy postanowił przechować w biurze naczelnika stacji. Tam kufry miały bezpiecznie przeleżeć do czasu, aż z fortu wojskowego w Shubie zjawi się ktoś, by je przewieźć na osobnym gharri.

Orissa posłusznie wykonała polecenie sierżanta i ograniczyła się do zabrania ze sobą dwóch sukien: na dzień i na wieczór, kilku książek, ciepłej; bielizny, która, jak sądziła, przyda się w chłodniejsze, górskie noce na północy Indii, oraz ciepłego, grubego szala i płaszcza. Bagaż zmniejszył się teraz trochę więcej niż o połowę.

Sierżant nie wydawał się zachwycony widokiem torby podróżnej Orissy wypchanej po brzegi. Powstrzymał się jednak od uwag i kazał kulisowi zanieść resztę bagażu do naczelnika stacji. Wyjaśnił, że są własnością pułkownika Henry'ego Hobarta stacjonującego z wojskiem w Shubie i powinny być przechowywane w bezpiecznym miejscu do czasu, gdy któryś z żołnierzy zjawi się po nie. Nazwisko pułkownika wzbudziło oczywiście respekt naczelnika stacji, który osobiście podpisał kwit bagażowy. Podziękowawszy mu, sierżant zasalutował, po czym opuścił stację, nie zwracając najmniejszej uwagi na Orissę, która pokornie podążyła za nim, jak przystało na uniżoną, skromną hinduską kobietę.

Koń zaprzężony do gharri był nieduży i chudy, ale Orissa miała nadzieję, że okaże się wytrzymały. „Sierżant z pewnością wiedział, co robi, wynajmując takiego konia”, pocieszyła się w duchu i postanawiając zaufać swemu opiekunowi we wszystkim, odważnie wdrapała się na siedzenie wysokiego wozu. Sierżant załadował torbę podróżną z tyłu, po czym sam wskoczył na gharri i skierował konia najkrótszą drogą przez Peszawar.

Orissa narzuciła na głowę sari i zasłoniła twarz tak, by widać było tylko jej oczy. Ukryta w ten sposób przed ciekawskimi spojrzeniami, rozglądała się wśród mijanych dzielnic i ulic. W tłumie przechodniów było bardzo dużo brytyjskich żołnierzy, lecz ani jednej angielskiej damy. To przekonało ją, że

sierżant miał rację podejrzewając, iż wszystkie brytyjskie kobiety odsyłane są ze względów bezpieczeństwa do Delhi. Samo miasto zaś wydawało się spokojne i dostatnie, o czym świadczyły drogie stroje nie śpieszących się nigdzie ludzi oraz ich zadbane, okazałe domy.

Shuba leżała na wschód od Peszawaru. Nie było tam dobrej sieci dróg i podróż, która czekała Orissę, zapowiadała się na bardziej uciążliwą, niż początkowo sądziła.

Kiedy wyjechali poza granice Peszawaru, Orissa zrzuciła z głowy sari. Droga, którą teraz podążali, była całkiem pusta. Otaczały ją rozległe, żyzne pola uprawne.

Podziwiając z uśmiechem na twarzy roztaczające się wokół krajobrazy, Orissa zagadnęła sierżanta:

- Czy może dowiedział się pan na stacji czegoś nowego na temat sytuacji na granicy?

- Ja słyszeć tylko pogłoski, ale każda z nich mieć swoje źródło w prawdzie - odpowiedział sierżant. - Na granicy być bardzo niebezpiecznie. Ja tylko mieć nadzieja, że pułkownik nie być na mnie zły, że ja narazić życie memsahib.

- Przyrzekam panu, sierżancie, że jeżeli wuj będzie na nas zły, wezmę całą winę na siebie - zapewniła go szybko Orissa.

Słowa te nieco uspokoiły sierżanta, lecz po postoju w kolejnej wiosce, gdzie uzupełnili zapas wody do picia, sierżant znów wydawał się czymś zaniepokojony.

- Jeszcze jakieś złe wieści? - zapytała. - Chyba nie gorsze od tych, które już do nas dotarły?

Sierżant w odpowiedzi jedynie uśmiechnął się smutno i zapatrzył przed siebie.

Kiedy zaś opuścili wioskę, przed oczami Orissy rozpostarła się ogromna, szara i zamglona równina, za którą daleko nad horyzontem wznosiły się ostre szczyty gór, a nad nimi zachodzące słońce. Jechali dalej, posuwając się skrajem tej niemal pustynnej okolicy. Kilka razy minęły ich wielbłądy, które wkrótce zniknęły w tumanach kurzu. Orissa pomyślała, że musiały szczęśliwie przebrnąć przez linię ognia, podczas gdy ich właściciele wrócili w popłochu do Afganistanu lub Rosji, albo też zaginęli bez wieści wśród zaśnieżonych gór Hindukuszu.

Orissa nagle zadrżała ze strachu.

- To już niedaleko, memsahib - zapewnił ją sierżant, sądząc, że drży z zimna.

Słońce szybko skryło się za górami, rozświetlając na kilka minut niebo ognistą luną.

- Gdzie zatrzymamy się na noc? - zapytała, domyślając się, że nie dotrą przed nocą do Shuby.

- W dakbungalow, memsahib - odparł sierżant.

Po kilku minutach rzeczywiście dotarli do małego, niskiego, skąpo wyposażonego i umeblowanego domku. Większość podróżników, wszystkie niezbędne im w drodze rzeczy wiozła ze sobą. Na widok Orissy w towarzystwie sierżanta właściciel małego domu wpadł w zakłopotanie, gdyż dakbungalowy przeznaczony był dla Europejczyków. Jednak sierżant zmiażdżył go wzrokiem, szybko nakłaniając gospodarza do posłuszeństwa. Orissa została zaprowadzona do jednego z wolnych pokoi. W okamgnieniu znalazły się poduszki i ciepłe, grube koce, które zostały ułożone na niskim łóżku. Orissa i sierżant byli jedynymi gośćmi, mieli więc tylko dla siebie pokój gościnny, który służył również za jadalnię, oraz mogli liczyć na dodatkowe wygody.

Orissa umyła się w swojej sypialni, rozczesała włosy i upięła je, jak czynią to Hinduski, w kok na karku. Tak odświeżona udała się na kolację do jadalni, gdzie czekał na nią sierżant. Obfity posiłek składał się z tradycyjnych, hinduskich dań, wypełniających wszystkie pomieszczenia zapachami egzotycznych przypraw oraz warzyw. Po kolacji zmęczona uciążliwą podróżą, Orissa zasnęła szybko na twardym materacu i kiedy wczesnym rankiem usłyszała pukanie do drzwi, wydało jej się, że zaledwie zdążyła zamknąć oczy i zdrzemnąć się chwilę.

Ubranie się w mały stanik, sari oraz wsunięcie nóg w wygodne hinduskie sandały zajęło jej bardzo mało czasu. Równie prędko uporała się ze spakowaniem swoich rzeczy i doprowadzeniem włosów do porządku. Sierżant przywitał ją przy stole w jadalni. Ku zaskoczeniu Orissy nie miał już na sobie brytyjskiego munduru wojskowego.

- Memsahib mi wybaczyć, ale w mundurze nie być bezpiecznie podróżować dalej - wyjaśnił zmianę stroju.

- Tak, to będzie rozsądne, że się pan przebrał - przyznała, siadając do stołu.

Sierżant wyszedł do kuchni, by przynieść śniadanie. Orissa zauważyła, że za każdym razem, gdy wnosił kolejne danie, dokładnie zamykał za sobą drzwi. Początkowo nie rozumiała, dlaczego to robi, lecz w końcu uświadomiła sobie, że gdyby była rzeczywiście Hinduską, nie mogłaby siedzieć z nim przy stole.

- Musi mnie pan nauczyć, jak powinnam się zachowywać w pana towarzystwie - uśmiechnęła się do sierżanta, kiedy zasiadł do śniadania naprzeciw niej. - Nie mogę się zdradzić żadnym gestem czy słowem, bo inaczej nie dotrę do wuja żywa.

- Proszę się nie martwić, memsahib - odrzekł sierżant. - Ja powiem gospodarzowi, że pani być bardzo dostojną hinduską damą - rani. On pewnie dziwić się, co pani tu robić bez świty, ale ja to wyjaśnię.

- Jak? - zaciekała się Orissa. Sierżant wydał się trochę zakłopotany.

- Ja mu powiem, że pani uciec od swojego złego męża i szukać prawdziwa miłość ze mną. Orissa roześmiała się.

- Och, sierżancie! Nie wiedziałam, że jest pan takim romantykiem!

Droga, na którą wjechali po dwóch godzinach jazdy przez równinę, wiała się teraz wśród stromych zboczy. Powietrze było rześkie i wilgotne, szczyty gór spowite w chmurach, a mętna woda w rwących strumieniach wskazywała na obfite opady deszczu sprzed kilku godzin. Droga nie była łatwa, lecz mały koń, który wypoczął przez noc, posuwał się żywym, równym krokiem po wybojach i rozpadlinach.

Orissa, widząc, że sierżant nadal jest bardzo spięty, postanowiła oderwać go od niemiłych myśli.

- Czy odpowiada panu służba w armii? - zapytała.

- Memsahib, to całe moje życie! - odparł sierżant w języku urdu, którym dla bezpieczeństwa zaczęli się posługiwać od chwili opuszczenia dąkbungalowa. - Sikhowie to naród wojowników, ale też bardzo porządni ludzie.

- Czy poza walecznością wyróżniają się czymś szczególnym spośród plemion hinduskich? - wypytywała go dalej Orissa.

- Każdy Sikh zapuszcza włosy, wpina w nie grzebień, nosi przy boku szablę, metalową bransoletę na nodze i krótkie spodnie, a przede wszystkim jest bardzo dumnym człowiekiem! - uśmiechnął się sierżant.

Orissa roześmiała się.

- Czy długie włosy nie sprawiają kłopotu mężczyźnie? - zaciekała się.

- Nie. Kiedy zapuszcza się je od dzieciństwa, łatwo jest przywyknąć do nich.

- A czy Sikhów obowiązują jakieś zakazy?

- O, tak! - odparł sierżant, rozbawiony jej dociekliwością. - Żaden Sikh nie pije alkoholu i nie pali tytoniu. Nie wolno mu też rozstawać się ze swoim mieczem!

Mówiąc to, sierżant spoważniał i dotknął rękojeści szabli.

Posuwali się dalej drogą wśród gór, a Orissa, na ile potrafiła, na tyle starała się wprawić sierżanta w lepszy nastrój. Nie spotykali już po drodze żadnych podróżnych. Wokół nich panowały spokój i cisza zmacona tylko szumem potoków.

- Wydaje się, że okolice Shuby nie są tak niebezpieczne, jak mówiono - odezwała się zmęczona Orissa, jedynie po to, by zająć czymś myśli sierżanta.

- Oby nie być to pozorny spokój, memsahib - odrzekł, a w jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju, która poruszyła również sercem Orissy.

Okazało się, że sierżant miał rację. Kiedy bowiem ujechali kolejne dwie mile, do ich uszu dobiegł nagle dźwięk jakby spadającej skały. Oboje unieśli głowy, nasłuchując w napięciu, czy stłumiony huk powtórzy się. Po chwili znów rozległ się następny, niesiony gdzieś z oddali przez echo. Orissa bardzo chciała uwierzyć, że był to tylko odgłos spadających kamieni, lecz dobrze wiedziała, że w pewnej odległości od nich padały strzały z karabinów.

Sierżant w milczeniu ponaglił konia. Pięli się wciąż wyżej, a niestrudzone zwierzę dzielnie pokonywało drogę, która stała się teraz stromą ścieżką wijącą się wzdłuż potoku. Powoli zapadał zmierzch i wysokie góry rzucały coraz dłuższe cienie na wąską kotlinę, którą podążali. Orissa, pragnąc zapomnieć na chwilę o złowieszczych dźwiękach dolatujących co pewien czas z oddali, postanowiła znów zagadnąć sierżanta.

- Czy zostało coś z pieniędzy, które panu dałam? - zapytała nieśmiało.

- Niestety nie, memsahib - odrzekł.

- A więc pewnie jestem pana dłużniczką - zgadła. - Przysięgam, że wuj zwróci panu wszystko to, co wydał pan na mnie ze swojej kieszeni.

- Nigdy bym w to nie śmiał wątpić, memsahib - odparł dumnie sierżant.

- Proszę mi opowiedzieć o Shubie - odezwała się po chwili, rozglądając się dookoła.

Miała wrażenie, że pustka i ogromne, mroczne cienie wokół nich nadawały górom jakiegoś niesamowitego, nieziemskiego wyglądu. Zastanowiła się, jacy są i jak żyją ludzie zamieszkujący takie okolice.

- Byłem tylko raz w Shubie i to bardzo krótko - odrzekł sierżant. - Nie znam zbyt dobrze tych terenów. Wiem jedynie, że fort wybudowany został wokół miasta niedawno i rzadko do tej pory był wykorzystywany.

Ta informacja podpowiedziała Orissie, że sytuacja na granicy musi być rzeczywiście poważna, skoro tak nieoczekiwanie wysłano do opustoszałego fortu cały batalion pod dowództwem pułkownika.

Słońce chowało się już za wierzchołki gór i wąska kotlina, którą się posuwali, tonęła całkiem w mroku, kiedy sierżant z nutą triumfu i niepokoju w głosie oznajmił nagle:

- To właśnie jest Shuba, memsahib! Mówiąc to, wskazał ręką przed siebie, gdzie daleko, u wylotu kotliny jaśniały dachy wież fortu. Miasto otaczał potężny mur z wysokimi wieżami wartowniczymi, za nim zaś wznosiły się białe ściany budynków o małych wąskich oknach.

Do przejechania pozostało im jeszcze około trzech mil, a teren, który mieli przebyć, mógł być pod obserwacją i ostrzałem nieprzyjacznych plemion. Oczywistym stało się teraz dla Orissy, że jazda do fortu w mundurze angielskiego żołnierza byłaby samobójczym krokiem ze strony sierżanta.

- Może, jeżeli ktoś nas obserwuje, uzna, że nie jesteśmy warci straty cennej amunicji - zauważyła głośno, choć mówiła jakby do siebie, usiłując dodać sobie otuchy.

Jednak Orissa czuła, że grozi im poważne niebezpieczeństwo. Ogarnął ją nawet graniczący z paniką strach, że nie dotrą do fortu. Sierżant najwyraźniej przeczuwał to samo, bo po raz pierwszy, odkąd wyjechali z Peszawaru, uderzył konia batem i małe gharri, podskakując na kamieniach, szybko potoczyło się w stronę Shuby.

Spoglądając w błękit nieba, Orissa modliła się żarliwie w głębi serca o szczęśliwe zakończenie tej ryzykownej przygody. Bała się bardzo, choć nic wokół nie wskazywało na to, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Czuła, że siedzący obok niej Sikh również wznosił modły, prosząc o bezpieczne dotarcie do celu i uwolnienie się od odpowiedzialności za jej życie.

Wkrótce niestrudzony mały koń zwolnił i zaczął wspinać się na wzniesienie, gdzie stał fort. Droga była teraz szeroka i zataczała duże łuki, by ułatwić dojazd ciężkim wojskowym wozom z dostawami broni oraz żywności. Orissa zastygła w napięciu na twardej desce, wpatrując się w bramę wjazdową do fortu tak intensywnie, jakby chciała zahipnotyzować wszystkie złe siły mogące przeszkodzić im w dojechaniu do niej. Wciąż obawiała się, że w ostatnim momencie dosięgnie ją lub sierżanta kula wystrzelona zza krzewów porastających zbocza gór.

Kiedy koń znalazł się na prostej, brama nagle otworzyła się szeroko i chwilę potem gharri z łoskotem i zawrotną prędkością wtoczyło się za mur obronny.

Orissa odwróciła roześmianą twarz w stronę swego towarzysza podróży, który z trudem hamował rozpędzone zwierzę.

- Dziękuję, sierżancie! - wykrzyknęła. - To była naprawdę szybka, spokojna i szczęśliwa podróż!

- Ja cieszyć się móc dowieźć memsahib do celu całą! - odrzekł sierżant uśmiechając się.

Brama fortu zamknęła się za nimi z hukiem i do gharri zbliżyli się dwaj uzbrojeni żołnierze.

- Kim jesteście? - zwrócił się jeden z nich do Sikha.

- Starszy sierżant Hari melduje swoje przybycie do fortu! - odparł opiekun Orissy.

A niech to! - wykrzyknął żołnierz, po czym cofnął się i zasalutował sierżantowi z entuzjazmem. - Proszę za mną sierżancie!

Orissa podążyła za mężczyznami, których wkrótce otoczył tłum wojskowych wyłaniających się z otwartych drzwi niskiego budynku.

- Sierżant Singh! Niemożliwe! Mówiłem, że to on! - dobiegły Orisnę okrzyki padające z ich ust.

Wszyscy, którzy podchodzili do sierżanta, witali go z entuzjazmem.

- Kimkolwiek jesteście, pułkownik chce was natychmiast widzieć! - rozległ się nagle donośny głos kaprała, przed którym żołnierze zgromadzeni wokół Harięgo Singha rozstąpili się. - Proszę za mną sierżancie, pani również!

Orissa z narzuconym na głowę sari i zakrytą do połowy twarzą poczuła na sobie ciekawe spojrzenia żołnierzy, którzy dopiero teraz ją spostrzegli. Spuściła skromnie oczy i potulnie podążyła za sierżantem Singhiem, którego kaprał prowadził małą uliczką w kierunku okazałego domu wybudowanego w stylu angielskim. Shuba była niewielkim miasteczkiem z małymi, lecz solidnymi budynkami z kamieni i gliny, ściśniętymi wzdłuż wąskich uliczek, na których widać było stragany handlarzy. Jej mieszkańcy wydawali się przebywać w domach, bowiem ulice świeciły pustkami, być może ze względu na porę dnia.

W obszernym pomieszczeniu, do którego weszła Orissa z sierżantem, panował półmrok.

Pułkownik Henry Hobart podniósł się znad biurka ustawionego przy oknie, przez które wpadały resztki dziennego światła.

- Dobry Boże! Sierżancie! Czy to rzeczywiście wy powoziliście tym rozsypującym się gharri?! - zwrócił się do Harięgo Singha. - Nie mogłem uwierzyć, że jakiś głupiec pcha się na pewną śmierć tym gruchotem środkiem nie osłoniętej doliny, a tym bardziej nie wpadłbym na to, że wy nim jesteście, sierżancie!

Orissa wysunęła się przed Harięgo Singha.

- To był jedyny sposób dowiezienia mnie do ciebie, wuju! - stanęła w obronie swego sikhijskiego opiekuna.

Zrzuciła z głowy sari i uśmiechnęła się radośnie do wuja. Pułkownik Hobart zeszywniał, po czym utkwiał w niej zdumiony wzrok i wpatrywał się w milczeniu, jakby ujrzał istotę, która postradała zmysły.

- Wuju Henry! To ja, Orissa! - zawołała i podbiegła do niego rozbawiona. - Przyjechałam do ciebie, bo nie miałam innego wyjścia. Macocha wyrzuciła mnie z domu, a Karol nie mógł się mną zaopiekować!

Orissa zamilkła zaskoczona wyrazem twarzy pułkownika, który wydawał się nie rozpoznawać jej.

- Orissa?! - powtórzył niedowierzająco. - To naprawdę ty?!

- Nie wydajesz się zachwycony moją obecnością! - roześmiała się, choć czuła się trochę rozczarowana reakcją wuja. - Karol miał wysłać telegram uprzedzający cię o moim przybyciu do Delhi, ale pewnie zapomniał to zrobić. Wiesz przecież, jaki on jest nieodpowiedzialny!

Pułkownik Hobart otoczył ramieniem Orissę i powiedział nieswoim głosem:

- Moje drogie dziecko! Orisso! Nie mogę uwierzyć, że dotarłaś tu cała i zdrowa!

- Ja też! - odparła uśmiechając się. - Zawdzięczam to wyłącznie sierżantowi Singhowi. Dlatego proszę, nie złość się na niego. To ja narzuciłam mu swoje towarzystwo i zmusiłam, by mnie tutaj przywiózł, ale... naprawdę nic innego nie mogłam uczynić!

- Cóż, to wyjaśnia waszą bezmyślność, sierzancie - pułkownik zwrócił się do opiekuna Orissy. - Muszę wam chyba podziękować. Trzeba nie lada odwagi, żeby sprowadzić tu kobietę. Przebierzcie się, a później opowiecie mi wszystko ze szczegółami!

- Tak jest, sir! - sierżant Singh zasalutował i z ulgą wyszedł z salonu.

Tymczasem oczy Orissy wciąż śledziły z uwagą twarz wuja.

- Mnie również nie powinieneś za nic winić! - odezwała się z prośbą w głosie. - Znasz naszą macochę! Ostatnio piła coraz więcej i w końcu odważyła się wyrzucić mnie za drzwi. Życzyła mi, bym zamarzła na mrozie! Szukałam pomocy u Karola. Zaryzykował dla mnie honorem, pozwalając mi przenocować w swoim pokoju w koszarach!

- Powoli, Orisso, bo zaczynam tracić głowę! - przerwał jej pułkownik. - Jeszcze pół godziny temu włos jeżył mi się na niej, kiedy obserwowałem, jak zbliżacie się z sierżantem do fortu, jadąc środkiem tej doliny niczym traktem

królewskim! W każdej chwili mogliście zostać ostrzelani i miałbym tu teraz tylko wasze zwłoki!

- Wiem! Czułam, że grozi nam niebezpieczeństwo - przyznała Orissa. - Ale wszystko zakończyło się cudownie szczęśliwie!

- To rzeczywiście cud, że oboje jeszcze żyjecie - przerwał głęboki głos zza jej pleców.

Orissa odwróciła się tak gwałtownie, że ręka pułkownika Hobarta spadła z jej ramion. Z mrocznego kąta pokoju wyłoniła się sylwetka mężczyzny, który siedział do tej pory w milczeniu, zagłębiony w wysokim fotelu. Kiedy wchodziła do salonu, była przekonana, że wuj jest sam! Było jednak inaczej. Oto los ponownie zdecydował za nią! Mężczyzna, którego miała już nigdy więcej nie ujrzeć, stał znów przed nią. Nie uciekła przed nim!

- Tak, Meredith! Ma pan rację, to niewiarygodne, że dotarli tu żywi - stwierdził pułkownik. - Proszę mi pozwolić przedstawić panu tę młodą, upartą kobietę. Orisso! To jest major Myron Meredith. A oto, majorze, moja nieobliczalna, samowolna siostrzenica - lady Orissa Fane.

Major Meredith podszedł wolno do Orissy i zatrzymał się w milczeniu kilka kroków przed nią. Szok spowodowany jego nieoczekiwanym pojawieniem się sprawił, że Orissa pobladła. Jej oczy podkreślone czarną kredką wydawały się ogromne. Czuła, że braknie jej tchu. Odruchowo uniosła przyciemnione henną dłonie do piersi, próbując wydobyć z siebie głos, lecz w tym samym momencie major Meredith odezwał się powoli:

- Lady Fane i ja spotkaliśmy się już wcześniej, sir.

- Jak sędzę, stało się to za sprawą niesfornego Karola - pułkownik uśmiechnął się znacząco do majora. - Przyznaję, że oboje są postrzeleni, ale... cóż, kocham ich za to jeszcze bardziej!

- Dziękuję... wuju Henry - zdołała wyszeptać Orissa, starając się uniknąć przenikliwego spojrzenia stalowoszarych oczu majora, który cały czas przypatrywał się jej uważnie.

- A skoro już tu jesteś, Orisso! - ciągnął pułkownik. - Może mi podpowiesz, co, u diabła, mam teraz z tobą zrobić?!

- Zostanę przy tobie, wuju... - odparła słabym głosem. - Przyrzekam, że nie sprawię ci więcej żadnego kłopotu!

- Kłopotu? - zachnął się pułkownik i zaraz wybuchnął śmiechem. - Gdyby nie fakt, że sytuacja jest naprawdę poważna, byłoby rzeczywiście zabawnie mieć cię pod swoją opieką. Bo czy to nie parodia?! Siedzimy zamknięci w tej obwarowanej dziurze, gdzieś na końcu świata, wokół nas roi się od

rozdrażnionych tubylców z karabinami, a ty beztrąsko wjeżdżasz między nich u boku sierżanta, jakby to nie była linia frontu, tylko promenada w Brighton!

- Chcesz powiedzieć... że... za tymi skałami i krzakami są ukryci rebelianci?!

- Jest ich tam tylu, że mielibyśmy trudności w pokonaniu ich na otwartej przestrzeni! - odparł sucho pułkownik.

Drzwi otworzyły się nagle i do salonu wszedł żołnierz na służbie u pułkownika.

- Sir, wartownik chciałby zamienić z panem słowo.

- Niech nie opuszcza stanowiska, zaraz tam przyjdę - odrzekł pułkownik i gdy drzwi zamknęły się za żołnierzem, zwrócił się do majora Mereditha: - Meredith, oddaję panu pod opiekę moją siostrzenicę. Proszę dopilnować, żeby się pokrzepiła, ta szaleńcza podróż musiała ją pozbawić zupełnie sił. Jest biała jak płótno!

Mówiąc to, przemierzył stanowczym krokiem salon, kierując się do wyjścia. Orissa w rozpaczliwym geście wyciągnęła w jego stronę rękę, jakby chciała go zatrzymać, ale uświadomiła sobie, że nie może tym razem uniknąć rozmowy sam na sam z majorem Meredithem. Dumnie uniosła więc głowę i odezwała się pierwsza głosem, któremu usiłowała nadać obojętny, wyniosły ton:

- Chciałabym się przebrać. Proszę powiedzieć komuś, żeby zaprowadził mnie do mojego pokoju.

- Oczywiście - odrzekł major uprzejmie. - Musi mi pani jednak wybaczyć, jeżeli moje zachowanie wyda się jej nieco dziwne.

Jestem trochę... oszołomiony pani niespodziewanym pojawieniem się w forcie. Nie tylko dlatego, że jest tu pani jedyną damą, ale też dlatego, że zmienia pani swoje oblicza jak rękawiczki.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby wyjaśniać teraz cokolwiek - odparła, wyczuwając w głosie majora ironię i wymówkę, które skrywały jego niepewność.

- Nie wytłumaczy mi pani nawet, co się stało z pani mało towarzyskim mężem, który oczekiwał na nią w Bombaju?

Orissa nie umiała powstrzymać się od uśmiechu, odpowiadając:

- Mój mąż pojawia się tylko wtedy, gdy muszę uwolnić się od naprzykrzających się, nietaktownych dżentelmenów!

- Jest pani zatem przebiegłą i doświadczoną kłamczynią! - stwierdził, poważniejąc nagle.

Orissa uśmiechnęła się.

- Schlebia mi pan, majorze! - odrzekła. - Być może mam po prostu nieprzeciętny talent aktorski!

Powiedziawszy to, odwróciła się, podeszła stanowczo do drzwi i ostentacyjnie zatrzymała się przed nimi. Majorowi nie pozostawało nic innego, jak otworzyć je przed Orissą, po czym wydać odpowiednie polecenia żołnierzowi siedzącemu w holu.

Nie spoglądając za siebie i nie odzywając się do majora Mereditha, Orissa podążyła za młodym wojskowym pełniącym obowiązki służącego w mieszkaniu pułkownika. Była świadoma, że major śledzi ją wzrokiem. Tym razem jednak nie czuła się zażenowana jego spojrzeniem, a nawet miała nadzieję, iż dostrzeże on grację jej ruchów, które podkreślało przewiewne sari. Po raz pierwszy była pewna siebie i jakby dumna z tego, że w końcu to ona zostawia go zaskoczonego i zmieszanego. Teraz przecież musiał zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo bezpodstawne były jego podejrzenia wobec jej osoby i jak rażąco nietaktowne jego zachowanie na „Dorundzie”.

„Postaram się dać mu jeszcze porządną lekcję dobrego wychowania!” pomyślała złośliwie, nie potrafiąc się przyznać do tego, iż w głębi serca cieszyła się bezgranicznie jego obecnością!

Rozdział siódmy

Kiedy hinduski służący zaczął rozpakowywać jej torbę podróżną, Orissa podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Niewiele jednak mogła dostrzec. Wysokie drzewa oraz mur zasłaniały widok prawie całkiem.

- Czy memsahib życzyć sobie kąpiel? - zapytał Hindus, uporawszy się z jej bagażem.

- O tak, proszę! - Orissa ucieszyła się na myśl o zmyciu z siebie kurzu.

Usiadła na łóżku i zamyśliła się. Chociaż próbowała zapomnieć o majorze, szok spowodowany jego obecnością w forcie nie pozwalał jej tego uczynić. Nie rozumiała, jak major dotarł do Shuby przed nią. Niewątpliwie złapał poranny, pośpieszny pociąg do Delhi. Jednak jak dostał się tak szybko i bezpiecznie do fortu, skoro według jej wuja wokół czyhało tylu uzbrojonych tubylców?

Kiedy kąpiel była gotowa, Orissa zamknęła się w swojej łazience i z przyjemnością zanurzyła w wodzie. Nareszcie mogła zmyć ciemną hennę z dłoni i nieprawdopodobną ilość kurzu z włosów. Czysta i odświeżona zasiadła przed niedużym lustrem przy toalecie, rozczesując i susząc mokre włosy. Zajęta tą czynnością, przyglądała się swemu odbiciu i zastanawiała się, czy nie wyglądała lepiej z oczami podkreślonymi czarną kredką, gdy nagle za oknem rozległa się ogłuszająca wymiana strzałów. Przerażona zamarła na krześle. Kilka chwil później drzwi do jej pokoju otworzyły się bez pukania i w progu stanął pułkownik Hobart.

- Co się dzieje, wuju?! - zapytała, podbiegając do niego.

- Wpadłem tak nieoczekiwanie, bo obawiałem się, że te wystrzały mogą cię przestraszyć - odparł. - Nie przejmuj się jednak nimi, moja droga. To zwykła wymiana ognia, która powtarza się niemal co dzień po zachodzie słońca.

- Czy rebelianci zaatakowali nas? - wypytywała Orissa niespokojnie.

- Nie, tylko przypominają nam w ten sposób o swojej obecności w górach. Nie odważyliby się zaatakować fortu, przynajmniej jeszcze nie teraz...

Słowa pułkownika Hobarta zagłuszył raptem potężny wystrzał z brom artyleryjskiej umieszczonej na murach obronnych fortu.

- Wuju, proszę, wytłumacz mi dokładnie, jak wygląda sytuacja w okolicach Shuby? - zwróciła się do pułkownika błagalnym głosem.

- Słyszałam - ciągnęła - że sprawy mają się coraz gorzej na granicy z Afganistanem.

- Owszem! - przyznał posepnie pułkownik Hobart. - Rosjanie wciąż mają niezaspokojone apetyty. Nie wystarczyło im podbicie i ujarzmienie Buhary, Chiwy... Teraz mają ochotę zawładnąć Afganistanem!

- Ale dlaczego?

- Sądzą, że podporządkowanie sobie Afganistanu otworzy im drogę do Indii. Zamierzają wyprzeć nas stąd i pozbawić całkiem wpływów w tym kraju - odparł pułkownik.

- Chyba możemy im w tym przeszkodzić?

- Dysponujemy tylko trzydziestoma ludźmi na każdą milę granicy na północy Indii - odpowiedział pułkownik. - To za mało, żeby stawić im czoło, i dlatego musimy ściągnąć w te okolice wszystkich żołnierzy pozostających w rezerwie.

- Czy w Shubie jest dostatecznie dużo wojska? - spytała.

- Tak, ale to niewielki fort i nie ma tak ogromnego znaczenia strategicznego jak na przykład Quelta.

- A kto do nas strzelał przed chwilą? - wypytywała dalej Orissa.

- To tubylcze plemiona wyposażone w broń rosyjską. Są szkolone przez Rosjan i współpracują z dowództwem rosyjskim.

- Czy jesteśmy przez nich naprawdę oblężeni?

- Z tego co wiem wynika, że w górach wokół Shuby koczują ich tysiące, a naszych ludzi jest zaledwie ośmiuset. Sama więc widzisz, że jesteśmy w mniejszości, chociaż lepiej uzbrojeni...

Za oknem ponownie rozległa się seria wystrzałów i Orissa zamilkła na moment. Gdy zapanowała cisza, zapytała znów:

- Czy... zabili dużo naszych żołnierzy?

- Dwóch, a kilku jest rannych. Najwięcej jednak jest strat wśród miejscowej ludności, która nas popiera. Mam nadzieję, że nasz przeciwnik również poniósł straty. Robiliśmy, co mogliśmy...

Pułkownik objął ramieniem Orissę i przemówił cichym głosem:

- Chcę, byś знаła prawdę, Orisso, chociaż jednocześnie nie chciałbym cię straszyć. To oczywiste, że twoje przybycie tutaj jest mi bardzo nie na rękę, bowiem sprawy nie mają się najlepiej. Na razie jednak cieszymy się swoim towarzystwem, jak potrafimy. Nie umiem ci teraz powiedzieć, jaka naprawdę jest nasza sytuacja, może dopiero jutro, pojutrze...

- Czy wówczas będziesz już wiedział coś pewnego? - spytała, lecz wuj zdawał się nie słyszeć tego pytania.

- Pośpiesz się, moja droga! Kolacja będzie gotowa za dziesięć minut! - oznajmił tylko i zniknął za drzwiami.

Orissa przebrała się szybko w jedyną wieczorową suknię, którą miała przy sobie. Dopiero kiedy schodziła do salonu, uświadomiła sobie, że miała ją na sobie w noc, gdy major Meredith pocałował ją na statku. Westchnęła z irytacją i nadzieją, że fakt ten nie podsunie majorowi myśli, iż wybaczyła mu tamten incydent lub, co gorsza, że próbuje go zachęcić do powtórzenia tak zuchwałego postępu. W końcu z lekkim wzruszeniem ramion doszła do wniosku, że w ogóle nie ma znaczenia, co pomyśli sobie major Meredith o jej ubiorze.

Wuj czekał na Orissę w salonie w towarzystwie jakiegoś nie znanego jej majora, kapitana oraz dwóch młodych oficerów. Okazało się, że jest dla nich niemal taką samą bohaterką jak sierżant Hari Singh.

- Jest pani niewiarygodnie odważna! - zauważył kapitan, a dwaj młodzi oficerowie potwierdzili to, kiwając z uznaniem głowami. - Czy to był pani pomysł, żeby przebrać się za Hinduskę?

Orissa skromnie i cierpliwie odpowiadała na pytania podczas kolacji i jednocześnie cały czas zastanawiała się, gdzie podziewał się maj or Meredith, który przecież powinien siedzieć teraz razem z nimi przy stole. W końcu doszła do wniosku, że może wolał zjeść kolację w kantine żołnierskiej.

- Czy są już jakieś wieści o liczbie oddziałów nieprzyjaciela nadciągających z północy, sir? - zainteresował się nieoczekiwanie kapitan, zmieniając temat i poważniejąc.

- Niestety nie - odrzekł pułkownik.

- Obawiam się, że major Meredith... - zaczął beztrósco jeden z młodych oficerów, lecz natychmiast przerwał, napotykać piorunujące spojrzenie pułkownika Hobarta.

Orissa dobrze wiedziała, że dyskrecja, której powinni przestrzegać w rozmowach przy stole, wynikała z faktu, iż obsługiwali ich miejscowi ludzie, lojalności których nie mogli być pewni. Zdziwiła się jednak, że nazwisko majora Mereditha jest aż takim tabu, by nie wspominać o nim w ogóle podczas posiłków.

Wystrzały z obu stron muru umilkły dopiero po około godzinie. Cisza, która nastąpiła, wydawała się jednak jeszcze bardziej niepokojąca niż powtarzająca się co kilka minut wymiana ognia. Kolacja dobiegła końca i wszyscy przeszli do salonu. Pułkownik uznał obecność Orissy w forcie za wyjątkową okoliczność i poprosił, by została w salonie, kiedy mężczyźni usiedli w wygodnych fotelach przy kieliszkach porto. Obawiał się o nią i wolał mieć ją na oku.

Reszta wieczoru upłynęła wszystkim w dobrych nastrojach. Jednak dopiero po wyjściu gości pułkownika Orissa mogła poczuć się naprawdę swobodnie i spokojnie zrelacjonować wujowi przebieg wydarzeń.

- Nie miałem pojęcia, że sprawy mają się aż tak źle! - przyznał pułkownik.
- Czuję się odpowiedzialny za to, co cię spotkało i żałuję, że nie zainteresowałem się twoim losem wcześniej, a przede wszystkim, że nie zaproponowałem ci, byś zamieszkała ze mną w Indiach.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że ojciec całkiem uległ wpływowi macochy. Nie pisałam ci przecież nic o tym, co się dzieje w domu, ponieważ nie chciałam cię martwić i... wstydziłam się...

- Mimo to powinienem zainteresować się tobą i zaproponować ci przyjazd do mnie - stwierdził stanowczo jej wuj. - Tylko że... sytuacja na granicy wciąż się pogarszała. Nie byłem pewien, czy zagrzeję na długo miejsce w Delhi. W każdej chwili mogłem być wysłany w najbardziej zagrożone rejony Indii.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Poza tym szczerze ci się przyznam, że pomyślałem, aby młoda dziewczyna zamieszkała ze starszym kawalerem w służbie wojskowej wydawał mi się zupełnie niedorzeczny! Ale, jak mi to udowodniłaś swoim przybyciem, myliłem się!

- Więc już nie gniewasz się na mnie za to, że tu przyjechałam?

- Teraz wiem, że rzeczywiście nie miałaś innego wyboru - odrzekł. - Kochałem bardzo twoją matkę, Orisso. W latach dzieciństwa byliśmy najprawdziwszymi przyjaciółmi i kiedy umierała, przyrzekłem sobie zrobić wszystko, żeby zadbać o los twój i Karola.

- Ale nie mogłeś obarczyć się odpowiedzialnością za nas, skoro żył wówczas nasz ojciec. Teraz jednak mogłabym zamieszkać z tobą. Obiecuję, żenię sprawię ci żadnego kłopotu. Będę szczęśliwa, pomagając ci w prowadzeniu domu.

- Shuba to ostatnie miejsce na ziemi, gdzie mogłabyś stworzyć dom dla nas obojga - uśmiechnął się smutno pułkownik. - Przyznam ci się nawet, Orisso, że jestem coraz bardziej zaniepokojony faktem, że się tu zjawiałaś w takiej chwili. To naprawdę niebezpieczne okolice i nie wiem, czy uda nam się utrzymać fort.

- Czy... nieobecność majora Mereditha na kolacji ma coś wspólnego z twoimi przewidywaniami? - Orissa odważyła się zadać to pytanie, czując, że musi dowiedzieć się całej prawdy.

- Co wiesz o majorze? - zaciekawił się nagle jej wuj.

- Prawie nic... - odrzekła zdziwiona. - Karol jedynie ostrzegał mnie przed nim. Mówił, że ten mężczyzna pojawia się wszędzie tam, gdzie się go najmniej można spodziewać i wtyka nos w nie swoje sprawy.

Pułkownik uśmiechnął się dwuznacznie, po czym odezwał się znów:

- Sądzę, że gdyby Karol był uczciwy wobec siebie, przyznałby, że Meredith ustrzegł go przed zbłąźnieniem się, i to nie raz. Oboje wiemy przecież, Orisso, że kiedy Karol ujrzy piękną kobietę, zupełnie traci głowę!

Orissa roześmiała się.

- To prawda! Miał tyle burzliwych romansów, że sam chyba nie potrafi ich zliczyć! Ale co może obchodzi majora Mereditha czyjeś życie prywatne?

Pułkownik zmarszczył brwi i zamilkł na moment, jakby zastanawiał się, czy może powiedzieć jej to, co zamierzał.

- Karol mówił mi - ciągnęła Orissa, widząc wahanie wuja - że major Meredith jest odpowiedzialny za samobójstwo Geralda Dewara!

- To nieprawda! - zaprotestował stanowczo jej wuj. - Karol nie miał prawa powiedzieć czegoś tak oszczerczego!

- Ale podobno Gerald był typem mężczyzny, który nigdy nie targnąłby się na swoje życie, chyba że byłby do tego zmuszony.

- Tak, z tym się zgadzam! - przyznał pułkownik i dodał po chwili: - A skoro już wiesz aż tyle na ten temat, możesz usłyszeć więc resztę tej historii. Musisz mi jednak przyrzec, Orisso, że wszystko, co ci powiem, zachowasz w tajemnicy.

- Przyrzekam!

- Gerald Dewar, tak jak Karol, uganiał się za kobietami i w końcu zakochał się do szaleństwa w pewnej Hindusce, która, wykorzystując jego słabość, wydobywała od niego tajne informacje dotyczące naszych oddziałów wojskowych w Indiach.

- Dlaczego? - zdziwiła się Orissa.

- Ponieważ była rosyjskim szpiegiem wysłanym do Simby, gdzie stacjonował pułk Geralda - odrzekł pułkownik. - Opętała tego wesołego i słabego chłopaka tak bardzo, że mogła zrobić z nim, co chciała.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła Orissa. - Gerald był przecież najlepszym przyjacielem Karola!

- Wiem o tym - odparł pułkownik - i wówczas bardzo mnie to zmartwiło.

- Czy jedynym dowodem na tę całą niewiarygodną historię są słowa majora Mereditha? - zapytała nagle w złości.

- Dowodem na to jest strata jednego z naszych najlepszych oddziałów dowodzonych przez doświadczonego wojskowego. Wszyscy zginęli w górskiej zasadzce, przemieszczając się w stronę granicy.

- Nie! - Okrzyk Orissy zabrzmiał w ciszy domu jak wystrzał.

- Niestety, taka jest prawda - powiedział cicho pułkownik. - Gdyby wówczas cała sprawa wyszła na jaw, pułk byłby zhańbiony. Gerald musiałby bowiem stanąć przed sądem wojskowym, a Karol byłby przesłuchiwany jako podejrzany o współpracę z nim. Był przecież jego najlepszym przyjacielem.

Orissa zamilkła przerażona. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała, lecz była przekonana, że jej wuj mówi prawdę.

- Gerald był świadomy tego wszystkiego i... jedynym wyjściem z tej sytuacji, które mu pozostawało, było zachowanie się jak przystało na dżentelmena... - dokończył szeptem pułkownik.

Orissa obudziła się wczesnym ranem z radosnym uczuciem, że oto znów jest w Indiach u boku kochającego ją wuja i nawet fakt, iż są otoczeni przez uzbrojone, nieprzyjazne im plemiona, nie mógł popsuć jej nastroju. Śniadanie zjadła tylko w towarzystwie pułkownika.

- Mam nadzieję, Orisso - odezwał się jej wuj, kiedy wstali od stołu - że znajdziesz sobie jakieś zajęcie podczas mojej nieobecności, ale obawiam się, iż z konieczności będziesz musiała ograniczyć się do przebywania w ogrodzie i domu. Nie chcę, żebyś chodziła po mieście. Wystarczy już plotek po waszym wczorajszym wyczynie!

Orissa poczuła się rozczarowana, ale wyjrzawszy za okno jadalni, spostrzegła w głębi kilka straganów.

- Zrobię, jak sobie życzysz, wuju - uśmiechnęła się z błyskiem w oczach do pułkownika - ale przedtem musisz mi dać trochę pieniędzy!

- Szantażujesz mnie? - roześmiał się.

- Nie, lecz niestety moja obecność tu może cię kosztować więcej, niż sądzisz. Jestem przecież twoją ubogą krewną!

- Ale za to bardzo atrakcyjną i czarującą! - stwierdził pułkownik. - A więc cóż, moja kasa jest do twojej dyspozycji! Mam tyle rupii w sejfie, że niejednen z tych przeklętych rebeliantów mógłby cieszyć się nimi do starości! Sam jednak nie mogę zrobić z nich użytku!

Orissa spędziła przedpołudnie na oglądaniu materiałów wyłożonych na straganach. Dziwiła się, że w tak małym mieście jak Shuba jest tyle towaru do wyboru.

Próbowała gospodarować pieniędzmi wuja oszczędnie, kupując tylko to, co uważała za najpotrzebniejsze, lecz nie umiała oprzeć się chęci posiadania

małej butelki olejku jaśminowego, filigranowej roboty kolczyków ozdobionych półszlachetnymi kamieniami i delikatnego szala z kaszmirskiej wełny, tak cienkiej, że, jak przekonywał sprzedawca, można było ów szal przeciągnąć przez pierścionek. Podziwiając towary, nie potrafiła się zdecydować, które z nich ma kupić. W rezultacie nie zrobiła nawet połowy zakupów, kiedy zbliżyła się pora sjeisty. Nie czuła się zmęczona upałem i chętnie dalej przechadzałyby się wśród barwnych straganów, lecz wiedziała, że służba i wuj Henry oczekują jej przybycia na lunch.

Wróciła więc do domu i czas do obiadu przeleżała w łóżku. Była tak szczęśliwa z powodu powrotu do Indii, że trudno jej było uwierzyć, iż barwne, beztroskie życie w Shubie jest zagrożone. Jedynie wieczorne ostrzały fortu przypominały mieszkańcom miasta, że są obleżeni. Orissa wciąż jednak miała nadzieję, że nadejdzie jakieś wsparcie wojskowe z Peszawaru i wkrótce groźba przestanie wisieć nad miastem.

O wyznaczonej godzinie zeszła do jadalni, lecz nie zastała tam swego wuja. Pułkownik nie pojawił się w ogóle przy stole, na którym ustawiono naczynie z lekkimi, hinduskimi daniami. Opuszczając rano dom, uprzedził ją, że wychodzi na dłużej.

- Idę na ważną naradę wojenną - powiedział, uśmiechając się do Orissy na pożegnanie.

- Czy powiesz mi, jak przebiegła narada? - zapytała go po południu.

- Nie chciałbym cię zasmucać - odrzekł poważnie.

- Wolę poznać najgorszą prawdę, niż żyć w niepewności!

- Słusznie, jednak sam nie mam pojęcia, co dzieje się na zewnątrz. Rebelianci odcięli nam łączność z dowództwem...

- A więc nie możecie nawet zadeszować do Peszawaru, żeby poprosić o wysłanie wam wsparcia?! - wykrzyknęła zdumiona Orissa.

- Niestety! - przyznał pułkownik.

- A nie można wysłać jakiegoś żołnierza z wiadomością do dowództwa?

- Już to zrobiliśmy... - odparł posepnie pułkownik. - Jeden z naszych ludzi opuścił fort trzy dni temu, a drugi dzień później. Przedwczoraj rano wrzucono nam ich głowy przez mur...

Orissa zamarła ze zgrozy.

- A jednak... - szepnęła zbielełymi ustami - ja i sierżant Singh... przedostaliśmy się przez dolinę żywi... Jak to możliwe?

- Meredith sądzi, że nie był to ani cud, ani przypadek - powiedział pułkownik. - Rebelianci chcą uśpić naszą czujność. Prawdopodobnie są przekonani, że możemy wysłać następnych posłańców do dowództwa, Gdyby

któremuś udało się przedostać do Peszawaru, mógłby powiedzieć, że przedostanie się do fortu nie jest niemożliwe, bo dwoje ludzi dotarło tam bez szwanku.

Orissa po chwili milczenia odezwała się z trwogą w głosie:

- To znaczy, że... jeżeli dowództwo zdecyduje się wysłać posiłki, by nas wesprzeć, nie będzie świadome grożącego oddziałom niebezpieczeństwa i kiedy znajdą się one na nie osłoniętej dolinie, wówczas...

- Zostaną wystrzelane do ostatniego żołnierza - dokończył za nią pułkownik. - Tak, Orisso, nie ma teraz dostępu do Shuby, jak tylko tą nie osłoniętą drogą przez dolinę...

Orissa czuła, że odpowiedzi wuja wiążą się w jakiś sposób z nieobecnością majora Mereditha. Poprzedniego dnia przed zaśnięciem zastanawiała się długo, jakie wyjście z tej niełatwej sytuacji mógłby zasugerować jej wujowi poza oczywiście tym, że sam, niczym ptak, wzbije się w powietrze i poszybuję do Peszawaru lub jak kret przekopie się przez doliny i wydostanie z zasięgu ostrzału wroga.

Zjadłszy w samotności obiad, Orissa wyszła znów na miasto. Mimo że miała doskonały humor i cieszyła się każdą chwilą spędzoną na przechadzaniu się wśród straganów, nie mogła już przestać myśleć o majorze i zagrożeniu, które czaiło się poza granicami miasta. Wieczorem zeszła na kolację przy wtórze huku wystrzałów padających z obu stron muru. Tym razem wuj Henry oczekiwał jej w salonie w towarzystwie Mereditha.

- Jesteś nareszcie, Orisso! Już miałem po ciebie posłać! Pewnie ucieszy cię fakt, iż możemy ponownie gościć u siebie majora Mereditha.

- Dobry wieczór, majorze! - Orissa przywitała się chłodno, jakby byli w jednym z salonów londyńskich, a nie w odległym zakątku Indii, zdani na łaskę wroga.

Major Meredith odklonił się jej zdawkowo, uśmiechając się przy tym nieco ironicznie. Miał na sobie odświętny mundur. Orissa pomyślała, że musiał go pożyczyć specjalnie na kolację u pułkownika, spodnie bowiem i kurtka nie leżały na nim najlepiej. Wydawało jej się też, że major schudł od czasu, kiedy ostatnio go widziała. Jego twarz była bardziej opalona, a kości policzkowe wydatniejsze niż przedtem. Szybko jednak przypisała te spostrzeżenia swojej bujnej wyobraźni, tym bardziej, że trudno było dostrzec jakiegokolwiek szczegóły przy słabym świetle naftowej lampy.

W milczeniu zasiedli do stołu. Orissa co pewien czas rzucała w stronę majora Mereditha zaciekawione spojrzenia, których jednak nie dostrzegał. Jadł szybko, niemal łapczywie, jakby przez półtora dnia nic nie miał w ustach.

Przejęta sytuacją, w której się znajdowali, miała ochotę wypytać go, gdzie się podziewał cały dzień i czym był tak bardzo zajęty, że nie mógł zajrzeć do domu pułkownika choćby na chwilę? Niestety, musiała powstrzymać się z zadawaniem pytań do momentu, gdy ostatni służący opuścił jadalnię.

Po skończonym posiłku pułkownik wraz z majorem przeszli do salonu, lecz nie zasiedli w fotelach przy kieliszkach porto. Orissa, która im towarzyszyła, domyśliła się, że nie zabawią tam długo. Pułkownik wyjrzał przezornie na korytarz, rozglądając się, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym wrócił do salonu i dokładnie zamknął drzwi. Wyczuwała w ruchach wuja jakieś napięcie.

- Co się stało, wuju?

- Major Meredith przyniósł nam złe wieści - odrzekł pułkownik. - W okolicznych górach gromadzi się coraz więcej rebeliantów. Jest ich tam tylu, że w każdej chwili mogą nas zaatakować! Prawdopodobnie dowództwo w Peszawarze domyśliło się już, że mamy przerwana łączność. Wątpię jednak, czy mają pojęcie, co jest tego przyczyną. Linie telegraficzne często są uszkodzane przez burze, powodzie i wichury. Poza tym pewnie są też przekonani, że gdyby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, powiadomilibyśmy ich o tym w inny sposób.

- Ale to niemożliwe! - szepnęła z przejęciem Orissa.

- Niestety nie - przyznał pułkownik. - Sytuacja jest więc, jak widzisz, moja droga, bardzo poważna i dlatego major Meredith zdecydował, że sam spróbuje dotrzeć do Peszawaru, żeby powiadomić dowództwo o tym, co się tu dzieje.

Na moment zapanowało milczenie, po czym Orissa zapytała wuja nieswoim głosem:

- Ale... dlaczego majorowi miałyby się udać to, co nie udało się innym? Przecież mówiłeś, że już dwóch twoich ludzi zginęło.

- Major ma swoje sposoby na pojawianie się i znikanie z fortu nie zauważonym - odrzekł pułkownik.

- Czy to znaczy, że przez ostatnią dobę nie było pana w Shubie? - Orissa skierowała pytanie wprost do majora Mereditha.

Major skinął nieznacznie głową, lecz z jego ust nie padło żadne słowo.

- Major Meredith wymknął się wczoraj wieczorem z fortu, żeby przekupić jednego z rebeliantów - ciągnął pułkownik. - Jest nadzieja, lecz bardzo nikła, że człowiek ten dotrze do Peszawaru z wiadomością dla naszego dowództwa, ale powtarzam, moim zdaniem nie można mu zaufać i wystawianie się na tak szalone ryzyko było zupełnie niepotrzebne!

Stanowczy i lekko poirytowany głos pułkownika wskazywał na to, że nie pochwałał on wyczynu majora i musiał robić mu wcześniej wymówki za narażanie życia dla czegoś, co prawdopodobnie okaże się bezowocnym wysiłkiem.

- Major Meredith sam doszedł w końcu do wniosku, że nie może być pewny, czy ów człowiek dotrze do celu i przekaze informacje, od których zależy życie wielu ludzi - kontynuował pułkownik. - Dlatego sam postanowił wyruszyć do Peszawaru i sprowadzić nam pomoc, żeby nie dopuścić do unicestwienia fortu.

- Nie... to niemożliwe! - szepnęła Orissa.

- Major Meredith, Orisso - odezwał się znów pułkownik - przekonał mnie, że jego samotna przeprawa przez góry jest jedynym sposobem ocalenia fortu i uratowania ośmiuset żołnierzy, którzy są pod moim dowództwem. Oddanie Shuby w ręce przeciwnika nie byłoby wielką klęską, lecz, tak czy inaczej, podkopałoby morale wśród żołnierzy brytyjskich, nie mówiąc już o tym, że rozzuchwalałoby rebeliantów, którzy mogliby spróbować zaatakować inne ważne strategiczne forty.

- Rozumiem - powiedziała Orissa.

- Musimy utrzymać ten fort za wszelką cenę! - mówił dalej pułkownik. - Dlatego major Meredith wyrusza w drogę jeszcze dzisiaj w nocy.

Oczy Orissy skierowały się na moment w stronę majora.

- A ty, Orisso... - dodał stłumionym głosem pułkownik Hobart - będziesz mu towarzyszyć...

Przez chwilę Orissie wydawało się, że się przesłyszała.

- Chcesz, żeby opuściła Shubę razem z majorem?

Pułkownik usiadł obok niej na sofie i ujął jej ręce w swoje dłonie.

- Moje drogie dziecko - odezwał się - musiałem dokonać trudnego wyboru: albo zatrzymać cię przy sobie i narazić na ogromne niebezpieczeństwo, oczekując na nadejście pomocy, albo zaufać majorowi i wysłać cię z nim do Peszawaru. Major Meredith twierdzi, że bezpiecznie przeprowadzi cię przez góry.

- Wolę zostać z tobą! - zapewniła go szybko Orissa, czując, że jej serce przeszywa strach nie tyle przed ryzykowną przeprawą do Peszawaru, ile perspektywą pozostawania przez tak długi czas sam na sam z majorem Meredithem.

- Ja również chciałbym, żebyś tu została - odparł pułkownik Hobart. - Zanim jednak nadejdzie wsparcie, może rozpętać się bitwa, która będzie dla ciebie bardzo przykrym doświadczeniem... A poza tym...

Pułkownik Hobart zawahał się, jakby szukał odpowiednich słów.

- Pani wuj chce powiedzieć - wpadł mu nieoczekiwanie w słowo major Meredith - że gdyby fort miał się poddać, przedtem ktoś musiałby panią zastrzelić.

Orissa pobladła, przypominając sobie nagle, że od czasu krwawego powstania Sipajów, które wybuchło blisko trzydzieści lat wcześniej, żołnierze brytyjscy, jeśli przyszło im przegrać walkę, uśmiercali swoje kobiety, by nie dostały się one w ręce wroga żywe.

- Rozumiem... - szepnęła zrezygnowana.

- Wiem, Orisso - pułkownik zabrał znów głos, podnosząc się z sofy - że mogę polegać na twoim zdrowym rozsądku i odwadze. Byłaś przecież wychowana w rodzinie o tradycjach wojskowych. Jesteś niemal córką pułku!

Orissa uśmiechnęła się blado w podziękowaniu za te słowa otuchy, po czym spoglądając niepewnie na wuja, przemówiła zbielełymi ustami:

- Ale... jak powinnam przygotować się na tę podróż? Cóż ze sobą wziąć? W co się ubrać?

- Po pierwsze - major Meredith niespodziewanie zabrał znów głos - proszę postarać się, żeby nikt nie zauważył, że zamierza pani opuścić dom.

- To oczywiście! - odrzekła.

- Dlatego - kontynuował major, jakby jej nie słyszał - uda się pani natychmiast do siebie na górę, powie służącemu, że jest zmęczona i zamierza położyć się wcześniej spać, a także poprosi go, żeby dopilnował, by nikt pani nie niepokoił ani teraz, ani rano.

- Co potem? - zapytała Orissa wstając.

- Przebierze się pani w sari, w którym przyjechała do fortu, następnie odczeka kilka minut i zejdzie do biblioteki swojego wuja z tyłu budynku - instruował ją dalej major Meredith. - Ani w holu, ani na schodach nie powinna pani spotkać nikogo ze służby, wszyscy będą w tym czasie odesłani do zajęć, które nie pozwolą im swobodnie poruszać się po domu.

- Co mam ze sobą zabrać?

- Oczywiście nic - odrzekł major Meredith i zamilkł.

- Rozumiem... - szepnęła, po czym podeszła do drzwi i zniknęła za nimi.

Wiedziała, że czas nagli, więc bez wahania zastosowała się do poleceń majora.

Około pół godziny później Orissa, ubrana w sari, zjawiała się nie zauważona w bibliotece, gdzie czekał na nią major Meredith.

- Musimy przejść przez góry najszybciej jak można - powiadomił ją stanowczym Ciosem - dlatego przebierze się pani w to ubranie.

Palec majora najwyraźniej wskazywał na jakieś łachmany. Orissa, nie dowierzając własnym oczom, zbliżyła się do krzesła, na którym leżały, i uniósłszy je, spostrzegła zdumiona, że są to zniszczone, krótkie spodnie chłopięce oraz bluza.

- Mam to na siebie włożyć? - szepnęła z odrazą.

Usta majora Mereditha na sekundę wykrzywił uśmiech.

- Nie sądzi pani chyba, że to czerwone sari, które panią teraz zdobi, ułatwi nam przejście przez góry. Będzie panią w nim widać na milę, nie mówiąc już o tym, że okolice roją się od mężczyzn, którzy od miesięcy nie mieli kobiety.

Rzeczowość stwierdzenia majora wywołała rumieniec gniewu na twarzy Orissy.

- Więc powinien się pan postarać o mniej postrzępione spodnie, żeby nie było widać moich nagich nóg! - odrzekła gniewnie.

- To nie miejsce ani pora na okazywanie dziewczęcej skromności, lady Fane - dociął jej.

Słowa te rozzłościły Orissę jeszcze bardziej.

- Zdaje się, że bardzo chce mi pan uprzykrzyć tę podróż!

- Sama jest pani sobie winna. Nie trzeba było w ogóle zjawiać się w Shubie - odparł spokojnie. - A teraz, jeśli chce pani dotrzeć do Peszawaru żywa, proszę się przebrać.

- Niepotrzebnie tak się pan o mnie troszczy, majorze Meredith! - powiedziała uszczypliwie. - Wcale nie mam ochoty towarzyszyć panu w tej szalonej wyprawie! Wołałabym zostać tu i walczyć!

Zamierzała wyprowadzić majora z równowagi i udało jej się to.

- Zapewniam panią - odezwał się lodowatym głosem - że ja również wolałabym zostać tu i walczyć, niż wlec ze sobą przez te góry marudną i narzekającą lady!

Orissa poczuła się, jakby wymierzył jej policzek. Upokorzenie roznieciło w niej jeszcze większy gniew. Niemal z furią otworzyła usta, by odpowiedzieć majorowi na tę uwagę, gdy do biblioteki wszedł nieoczekiwanie pułkownik Hobart.

- Pośpieszcie się! - szepnął niespokojnie. - Dlaczego to trwa tak długo? Przed świtem powinniście być w połowie drogi!

- Powinniśmy, sir - odrzekł major Meredith. - Może zatem mógłby pan przekonać lady Fane, żeby przebrała się w rzeczy, które jej przyniosłem.

- Oczywiście - przytaknął pułkownik niecierpliwie. - Orisso, proszę cię, pośpiesz się! Nie ma czasu! My tymczasem wyjdziemy na pięć minut do holu,

Orissa z niechęcią spojrzała na bezkształtne spodnie i bluzę i powoli zabrała się za przebieranie. Ledwo zdążyła założyć na siebie nowy strój, kiedy rozległo się pukanie, po czym nie czekając na jej odpowiedź, drzwi otworzyły się i do biblioteki wkroczył stanowczo major Meredith. Na moment jego oczy spoczęły na jej obnażonych łydkach i kolanach, które wystawały spod krótkich, podartych spodni, a w następnej chwili jego ręce zwinnie zaczęły owijać nogi Orissy w dwa grube, wełniane kawałki materiału.

Wciąż klęcząc przed Orissą, major dokończył szybko dzieła, oplatając na krzyż mocnym sznurem wełniane sukno spowijające teraz jej łydki. Zawiązawszy grube supły powyżej kolan Orissy, wstał.

- Tak, Meredith, w tym będzie jej wygodnie i ciepło - przyznał pułkownik Hobart, który stanął za plecami majora, śledząc z uwagą jego poczynania.

Major Meredith zabrał się z kolei za głowę Orissy. W pośpiechu pochwycił jej czerwone sari, skrzył je w powróż, a następnie owinał nim zręcznie jej głowę, robiąc nieduży turban, który skrył całkowicie włosy Orissy upięte w kok. Gdy skończył, pułkownik Hobart niecierpliwym ruchem wsunął mu do ręki drewniane pudełko wypełnione jakimś jasno-brązowym mazidłem.

- Będę musiał wysmarować tym pani twarz, lady Fane - poinformował Orissę major Meredith. - Nałożę jednak bardzo ciekawą warstwę. Tutejsza ludność ma dość jasną karnację.

Major odezwał się do niej po raz pierwszy od czasu ostrej wymiany zdań i w jego głosie wciąż pobrzmiwała nuta rozdrażnienia.

- Czy to się łatwo zmywa? - zaciekawiał się pułkownik, przyglądając się zawartości pudełka.

- Zniknie bez śladu, ale tylko z pomocą ciepłej wody i mydła - zapewnił go major - na pewno nie pod wpływem deszczu.

Nałożywszy sobie na palec odrobinę brązowej substancji, major zakomenderował:

- Proszę zamknąć oczy, lady Fane. Orissa posłusznie zacisnęła powieki i po chwili poczuła, jak major Meredith delikatnymi, choć energicznymi ruchami palców zaczął rozcierać masę na jej twarzy, a potem na szyi, karku i dłoniach.

Skończywszy, zwrócił się do pułkownika:

- Muszę się teraz sam przygotować do drogi, sir!

Pułkownik w odpowiedzi tylko skinął głową, a kiedy major Meredith zniknął za drzwiami, podszedł szybko do małego stolika, nalał pełen kieliszek wina, po czym wręczył go Orissie.

- To doda ci odwagi, moja droga, chociaż jestem przekonany, że i tak ci jej nie brakuje - uśmiechnął się do niej czule.

Oczy Orissy wypełniły się łzami.

- Czy nic złego ci się nie stanie, wuju? - zapytała szeptem.

- Ufam, że los będzie czuwał nad nami, moje dziecko - odparł i zaraz dodał: - A właściwie to całą wiarę pokładam w Meredithie. Jeżeli ktoś może nas ocalić, to tylko on!

Orissa westchnęła ciężko w głębi duszy. Niestety, nie umiała wciąż przezwyciężyć niechęci do majora Mereditha, zwłaszcza po tym co od niego usłyszała przed kilkunastoma minutami.

- Połknij to teraz, Orisso! - odezwał się cicho pułkownik, kładąc nieoczekiwanie na ręce Orissy cztery małe tabletki.

- Co to jest? - zdziwiła się.

- To uodporni cię na malarię i dezynterię.

Orissa zaczerwieniła się, uświadamiając sobie, jak niezręczne i uciążliwe byłoby nabawienie się tych lub innych chorób w drodze do Peszawaru.

- Popij pigułki winem, szybciej się rozpuszczą - powiedział niecierpliwie pułkownik Hobart.

Orissa posłusznie połknęła pastylki, a kiedy wypiała wino, doszła do wniosku, że ma ono całkiem inny smak niż to, które serwowane było przy kolacji.

- Wuju Henry... - zaczęła, pragnąc podzielić się tym spostrzeżeniem z pułkownikiem, lecz niespodziewanie język odmówił jej posłuszeństwa.

Poczuła silny ból głowy i po chwili nie potrafiła już zebrać myśli. Wydało jej się, że zapada się w otchłań, a jej ręce i nogi stają się bezwładne, jakby nagle uległa paraliżowi. Nie mogła się poruszyć... Przerazona zamknęła ciężkie jak ołów powieki i... straciła przytomność.

Rozdział ósmy

Kiedy Orissa budziła się kilka razy na krótką chwilę, wydawało jej się, że ból rozsądzi jej czaszkę. Ciężkie jak ołów powieki nie chciały się unieść. Leżała z zamkniętymi oczami, czując, że usta i gardło wyschły jej tak, iż nie może przełknąć śliny. Wciąż zapadała w głęboki sen, lecz gdy kolejny raz odzyskała świadomość, usłyszała nad sobą stanowczy głos:

- Proszę to wypić!

Poczuła, że do jej gardła sączy się zimna woda.

- Jeszcze trochę! - ponaglił ją ten sam głos. Tym razem Orissa bez trudu rozpoznała, do kogo należy. Rozpaczliwie spróbowała otworzyć oczy i w końcu ujrzała nad sobą obcą jej twarz mężczyzny z długimi, czarnymi włosami. Wydała z siebie ledwie dosłyszalny okrzyk przerażenia.

- Wszystko w porządku! - uspokoił ją major Meredith.

Był zupełnie do siebie niepodobny. Po kilku następnych łykach Orissa oprzytomniała na tyle, by móc? zapytać słabym głosem:

- Gdzie jesteśmy...?

Major delikatnie opuścił jej głowę na piasek.

- Jesteśmy około siedmiu mil na zachód od Shuby - odpowiedział.

Orissa zamilkła, usiłując przypomnieć sobie, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru i po chwili szepnęła rozszłoszczona:

- Kazał mnie pan... uśpić...!

Gniew sprawił, że na moment zapomniała o bólu głowy i słabości. Uniosła się na łokciu, po czym rozejrzała się wokół.

Znajdowali się w niskiej grocie. Przez wąski otwór wejściowy sączyło się jeszcze światło dzienne, a podmuchy wiatru niosły upalne powietrze z zewnątrz. Oczy Orissy powoli przywykły do mroku jaskini. Spojrzała ponownie na majora i w jej sercu zrodził się znów niepokój o to, czy siedzący obok niej mężczyzna jest rzeczywiście majorem Meredithem. Jego nogi były skrzyżowane po turecku, długie, czarne włosy spływające na ramiona przepasywała brunatna chusta, a na czole widniał czerwony znak kastowy. Tors majora Mereditha był obnażony i wysmarowany popiołem, pod którym można było dostrzec brunatno-żółte smugi namalowane ochrą. Z jego szyi zwisał długi naszyjnik z kamieni, a biodra i uda były w przemyślny sposób owinięte kawałkiem grubego materiału. Obok na piasku leżał długi płaszcz ze zgrzebnej wełny, taki, jaki noszą hinduscy fakirzy, kiedy wyruszają w góry.

Ucharakteryzowaną twarz majora rozjaśnił uśmiech rozbawienia na widok zdumienia Orissy.

- Indie pełne są świętych mężów, którzy głoszą swoje prawdy wędrując po kraju - powiedział - a każdy, kto ich napotyka na swojej drodze, odnosi się do nich z szacunkiem, nawet ich najwięksi wrogowie...

- Więc... to znaczy, że ... przedostaliśmy się przez linię frontu? - zapytała i nagle, spostrzegając swoje nogi, wydała okrzyk przerażenia.

Jej łydki i kolana były owinięte pokrwawionymi bandażami.

- To tylko teatralny efekt - wyjaśnił major Meredith. - Pani rzekoma śmierć pozwoliła mi po drodze głośno złorzeczyć Brytyjczykom za to, co pani zrobili. Mam tylko nadzieję, że te przekleństwa nie ziszczą się.

Powiedziawszy to, major pochylił się nad Orissą i zaczął zdejmować krwawe bandaże z jej nóg. W końcu zwinął je w kłębek i cisnął w ciemny kąt groty.

- Nie było potrzeby usypiać mnie! - szepnęła urażona. - Wystarczyło mi powiedzieć, co mam robić!

- Niestety, to by nie wystarczyło - odrzekł. - Musiała pani wyglądać na najprawdziwszego trupa, a to niełatwa rola nawet dla tak zdolnej aktorki jak pani. Poza tym... widoki, na które byłaby pani narażona w drodze, potrafiłyby odstraszyć niejednego mężczyznę, nie mówiąc o kobiecie.

Orissa przemilczała uwagę na temat jej aktorstwa i zapytała niedowierzająco:

- Niósł mnie pan cały czas na rękach?

- Przez siedem mil po kamienistych ścieżkach i drogach i czasami wydawało mi się, że waży pani tonę! To naprawdę nie było łatwe zadanie! - uśmiechnął się.

Orissa już miała odpowiedzieć mu na tę uszczypliwą uwagę, kiedy niespodziewanie olśniła ją inna myśl.

- Podejrzewam majorze, że umyślnie sprowokował mnie pan wczoraj wieczorem - zauważyła.

- Nic się nie da przed panią ukryć - roześmiał się pod nosem. - To prawda, ludziom na ogół łatwiej jest wmówić coś lub nakłonić do zrobienia czegoś, kiedy są pobudzeni emocjonalnie. Tracą wówczas rozsądek i nie potrafią trzeźwo oceniać rzeczywistości.

Orissa przyłożyła rękę do czoła. Była zła na majora Mereditha za to, że jej nie zaufał, lecz uśpił jak małe dziecko, i miała ogromną ochotę ponarzekać, jednak przypomniała sobie nagle jego niechęć do marudnych kobiet, dlatego zamilkła. Nie zamierzała sprawić mu satysfakcji, utwierdzając go w przekonaniu, że ona do nich należy.

Kiedy ostrożnie usiadła na piasku, major wsunął jej do ręki zawiniątko w papierze.

- Proszę to zjeść - powiedział. - Poczuj się pani silniejsza.

Orissa chciała odmówić, ale znów przypomniała sobie jego słowa i w milczeniu zaczęła jeść suche, pszenne ćapati.

- Czym kazał mnie pan uspić wujowi? - zapytała w trakcie posiłku.

- Opium - odrzekł.

- Mam nadzieję, że nie cierpiałam na darmo. Czy jesteśmy teraz bezpieczni?

Orissa odzyskiwała powoli dobry humor, lecz major Meredith odpowiedział jej z ponurym wyrazem twarzy:

- Tak, ale nie możemy iść dalej drogą prowadzącą wprost do Peszawaru. Wzbudziłoby to podejrzenia koczujących wzdłuż traktu, uzbrojonych plemion. Musimy obejść ich obozy, a to znaczy, że nasza podróż wydłuży się i będzie bardziej uciążliwa.

- Zatem wyruszamy natychmiast? - zapytała, zastanawiając się, czy uda jej się wstać.

- Będziemy iść tylko nocą - odparł. - Nasi wrogowie mają sokole oczy i pełno szpiegów w tych górach. Na szczęście dla nas okolice są pełne jaskiń i grot.

- Czy zawsze przebiera się pan za fakira, wykonując niebezpieczne zadania w Indiach? - zainteresowała się.

- Nie - uśmiechnął się - ale zawsze wyglądam tak, że bardziej prawdopodobne jest, iż kiedyś zginę w Indiach od kuli Brytyjczyków niż z rąk ich przeciwników.

Orissa westchnęła cicho i odezwała się znów słabym głosem:

- Jeżeli nie ma pan w tej chwili dla mnie żadnego specjalnego zadania do wykonania, to może mogłabym zdrzemnąć się jeszcze trochę?

- Bardzo rozsądna sugestia, lady Fane - uśmiechnął się. - Ja również zamierzam to uczynić.

Powiedziawszy to, major Meredith wyczołgał się z jaskini, by sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz, po czym wrócił i ułożył się blisko niej na swoim płaszczu.

- Miłych snów, panno Fane - powiedział z nutą kpiny w głosie. - Obudzę panią na długo wcześniej przed wyznaczoną porą wymarszu na południe.

Orissa z ulgą zamknęła ciężkie wciąż powieki, lecz po chwili, nie mogąc się powstrzymać, zapytała:

- Czy... rzeczywiście byłam taka ciężka? Major roześmiał się pod nosem.

- Na pewno nie mniej niż martwy chłopak, za którego była pani przebrana.

Poczuła się urażona faktem, że major Meredith nie starał się być uprzejmym wobec niej, jak uczyniłby to każdy inny mężczyzna na jego miejscu.

Przespała prawie cały dzień i kiedy w końcu się obudziła, słońce zachodziło już za góry. Efekty uboczne działania opium minęły do tej pory całkowicie. Orissa z chęcią przyjęła z rąk majora Mereditha ćapati i z apetytem zjadła je, popijając zimną wodą. Jej umysł był teraz całkiem trzeźwy.

Gdy wyszli na zewnątrz jaskini, przed jej oczami rozpostarł się piękny widok niebotycznych, ośnieżonych szczytów i głębokich, wąskich dolin. Powietrze nie było już duszne jak w ciągu dnia i zanosilo się na to, że w nocy ochłodzi się jeszcze bardziej.

- Czy... nie będzie panu zimno w tym stroju? - zaciekawiała się.

Unikała widoku obnażonych nóg i torsu majora Mereditha, czując się zażenowana przebywaniem w towarzystwie na pół nagiego, białego mężczyzny.

- Nie - uśmiechnął się. - Przywykłem przez całe lata do zimna i jestem już zahartowany, ale obawiam się o panią.

- Och, niepotrzebnie, na pewno będzie mi ciepło! - uniosła się dumą.

- Mam taką nadzieję, postarałem się bowiem o ciepły koc dla pani - odrzekł.

Major wyciągnął spod swojego płaszcza duży, kwadratowy kawał wełnianego materiału z otworem na głowę pośrodku.

- Nie jest zbyt czysty, ale w nocy nie widziałem, co kradnę - przyznał. - To jednak dobra osłona przed zimnym wiatrem wiejącym w nocy z ośnieżonych szczytów.

Wyruszyli po zapadnięciu zmroku. Orissa podążała tuż za plecami majora Mereditha. Nie widziała początkowo nic poza zarysem jego głowy na tle granatowiejącego nieba. Dopiero kiedy nad górami rozbłysły gwiazdy, zaczęła rozróżniać coraz więcej szczegółów. Nie miała jednak czasu, by zachwycić się niezwykłymi krajobrazami, gdyż bez przerwy usiłowała dotrzymać kroku posuwającemu się szybko do przodu majorowi. Jego bosa stopy lekko i pewnie stawały na ostrych kamieniach, jakby całe życie spędził wędrując nocą w przebraniu fakira po tych niebezpiecznych okolicach. Niestety, dla Orissy postawienie stopy na ziemi oznaczało za każdym razem bolesne doświadczenie, mimo że miała na nogach grube, wełniane onuce.

Po godzinie drogi jej entuzjazm znacznie opadł. Z trudem posuwała się teraz naprzód, lecz uparcie powtarzała sobie w duchu, że nawet gdyby miała skonać z wyczerpania, nie okaże zmęczenia ani nie poprosi o zwolnienie tempa. Uwadze majora Mereditha nie mogły jednak ujść jej stłumione jęki, powtarzające się przy każdym niefortunnym stąpieniu, bowiem w końcu po dwóch godzinach marszu zatrzymał się i zapytał, czy nie miałyby ochoty odpocząć.

- Byłoby lepiej, gdyby zechciał pan nie opóźniać naszej wędrówki, zadając mi takie pytania - odpowiedziała dumnie obojętnym tonem, chociaż za wszelką cenę pragnęła usiąść choćby na kilka sekund.

- Chyba narzuciłem pani zbyt szybkie tempo - powiedział cicho, przyglądając się jej twarzy, która wyrażała bezgraniczne wyczerpanie. - Jednak sama pani rozumie, że każda przebyta mila zwiększa nasze szanse na dotarcie do Peszawaru.

- Rozumiem - odrzekła.

Major bez słowa wskazał jej kępę trawy, na której usiadła zrezygnowana, a on obok niej. Po krótkim czasie podniósł się jednak i Orissa znów ruszyła za nim w dół stromego zbocza po to tylko, żeby za chwilę wdrapywać się na kolejne wzniesienie leżące z drugiej strony rwącego strumienia. Na szczęście potoki górskie nie były o tej porze roku wezbrane i mogli bezpiecznie przedostawać się przez nie po suchych głazach.

Szli teraz w wolniejszym tempie, a major co dwie godziny zarządzał krótki odpoczynek. Mimo to Orissa była zupełnie wycieńczona i kiedy nareszcie ujrzała na wschodzie jaśniejące niebo, nie miała nawet siły, by ucieszyć się tym widokiem. Świt nastał nieprawdopodobnie szybko, zaskakując ich w połowie góry, na którą się wspinali. Major Meredith zostawił Orissę na kilka minut i sam poszedł szukać schronienia na dzień. Między dwoma ogromnymi nawisami skalnymi znalazł kolejną grotę, do której wpełzli na kolanach. Wewnątrz przywitał ich nikły zapach dzikiej zwierzyny, lecz nie było widać śladu żadnego drapieżnika. Orissa w milczeniu położyła się na szarym piachu i natychmiast zasnęła kamiennym snem.

Obudziła się dopiero po czterech, pięciu godzinach. W grocie panowały prawie całkowite ciemności. Przestraszona otworzyła szeroko oczy, wypatrując majora. Ujrzała go leżącego u wylotu jaskini. Blokował kamieniami wejście i raz po raz wyglądał przez niewielki nie zatkany otwór.

- Czy coś się stało? - zapytała, zbliżywszy się do niego.

- Nareszcie się pani obudziła! - szepnął. - Już się obawiałem, że tym razem przedziergnęła się pani w śpiącą królownę. Nie mogłem pani dobudzić!

- Byłam bardzo zmęczona - odpowiedziała.
- Nie dziwię się, maszerowała pani niczym dzielny Spartanin! Dlatego pozwoliłem pani pospać nieco dłużej!
- Gdzie jesteście? - zainteresowała się.
- Właśnie mam zamiar zostawić parną samą i wyjść, żeby się tego dowiedzieć. Musimy być dobrze zorientowani w terenie, żeby nie posunąć się o krok za daleko. Poza tym musimy coś jeść. Pozostało tylko kilka ćapati, ryżu jest niewiele, a wo4a w manierce kończy się.

Słońce było nisko nad górami, gdy major Meredith wyczołgał się przez nieduży otwór na zewnątrz grotu. Nie miał na sobie płaszcza, a przy jego boku błyszczał długi nóż. Orissa wiedziała, że żaden z fakirów nie nosi noża przy sobie i major nie rozstawał się z nim jedynie ze względów bezpieczeństwa.

Zostawszy sama, położyła się znów na piachu i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście jest dla niego kłopotem w drodze. Postanowiła nie dać majorowi najmniejszego powodu do niezadowolenia.

Pochłonięta myślami, Orissa nie zauważyła upływu czasu i dopiero gdy w grocie zapanował mrok, uświadomiła sobie, że major Meredith musiał przebywać już bardzo długo poza ich schronieniem. Usiłowała odgadnąć, co mogło się wydarzyć. Może major został schwytany przez nieprzyjaciół, może ukąszony przez żmiję, a może stoczył się w przepaść i leży bezradny między skałami?

Przestraszona tymi domysłami, bez wahania wyczołgała się na zewnątrz, zapominając o ostrożności. Major Meredith pozwolił jej zdjąć w grocie turban i rozpuścić spięte w kok włosy. Teraz, kiedy stała zapatrzona przed siebie, wiatr wiejący od strony ośnieżonych szczytów rozwiewał je na wszystkie strony. Próbowwała dostrzec gdzieś w oddali sylwetkę majora. W końcu stanęła twarzą do zachodzącego słońca i ujrzała między dwoma olbrzymimi głazami cień mężczyzny.

- Och, nareszcie! - wykrzyknęła radośnie. - Zaczynałam się już niepokoić, że...

Słowa nagle zamarły na jej ustach. Mężczyzna, który zbliżał się do niej, nie był majorem Meredithem! Jego skośne oczy osadzone w szerokiej, mongolskiej twarzy uważnie przypatrywały się Orissie. Był równie zdumiony jej widokiem, jak ona jego pojawieniem się. Kilka chwil później stał przy niej z wyciągniętym nożem.

Orissa otworzyła usta, by zacząć krzyczeć, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Strach sparaliżował ją całkiem. Chciała uciekać, ale nie

potrafiła. Stała oniemiała, oczekując, że za moment ostrze noża zatopi się w jej piersi.

Mężczyzna nie był jednak zdecydowany, jakby rozważał coś w pośpiechu. W końcu, kiedy wolno uniósł ramię, by zadać jej cios, nad jego głową przemknął cień, a sekundę później jego martwe ciało zważyło się na ziemię tuż przed nią. Przerazona Orissa ujrzała pochylającego się nad nim majora Mereditha, który szybko wyciągnął nóż z pleców mężczyzny, po czym ponownie zatopił go w jego ciele.

Orissa zeszywniała ze zgrozy i natychmiast zasłoniła oczy przed widokiem rozlewającej się krwi. Słyszała, jak major wlecze ciało po kamieniach za jeden z olbrzymich głazów. Otworzyła niepewnie oczy. Była sama, a jedynym dowodem na to, co się wydarzyło, był leżący u jej stóp nóż, którym miała być zabita. Odzyskując panowanie nad sobą, wczołgała się z powrotem do grotu i usiadłszy w ciemnym kącie, znów zakryła twarz rękoma, cała roztrzęsiona.

Po kilku minutach major Meredith wrócił do jaskini. Usiadł obok niej i stłumionym głosem powiedział:

- Ten człowiek już nie żyje i nie wyrządzi pani żadnej krzywdy, a poza nim nie ma w tej okolicy nikogo, kto mógłby nam zagrozić.

Po raz pierwszy głos majora brzmiał uprzejmie, a nawet przyjaźnie. Orissa spojrzała na niego załzawionymi oczami. Objął ją ramieniem i uśmiechając się, przemówił cicho:

- Nic złego się nie stało...

Czując uścisk jego silnego ramienia, powoli opanowywała drżenie ciała.

- Nigdy... nigdy przedtem nie widziałam... nieżywego człowieka - wyszeptała.

- Tak, ten pierwszy raz jest dla wszystkich ciężkim przeżyciem - przyznał uspokajającym tonem. - Nawet pani ojciec i wuj doświadczyli tego samego uczucia co pani.

Orissa była świadoma, że major umyślnie przypomina jej o tym, iż jest przecież córką żołnierza, wychowaną w rodzinie o tradycji wojskowej, i ma prawo wymagać od niej więcej odwagi oraz siły woli niż od innych kobiet.

- Jak się ten człowiek tu znalazł? Co tu... robił? Kim był? - zapytała, usiłując ukryć drżenie głosu.

- Mieliśmy ogromne szczęście, że się na nas natknął - odparł major Meredith.

Orissa ze zdumienia całkiem przestała się trząść.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Był posłańcem niosącym ważne informacje dla rosyjskiej siatki szpiegowskiej w Peszawarze.

- Skąd pan wie?

- To jeden z Tadżyków zamieszkujących okolice Kabulu, którzy gotowi są podjąć się największego ryzyka dla pieniędzy. Od dawna są na usługach Rosjan.

- Czy Rosjanie dużo im płacą?

- W pojęciu tych ludzi bardzo dużo – odrzekł major. - Ale Tadżyk, którego spotkaliśmy, musiał dostać znacznie więcej, bowiem Rosjanie powierzyli mu informacje ogromnej wagi.

Major zamyślił się na chwilę, po czym dodał stanowczo:

- Właśnie ze względu na te informacje, lady Fané, musimy się spieszyć jeszcze bardziej i koniecznie dotrzeć do Peszawaru żywi!

Opanowany, pewny siebie sposób mówienia i otwartość majora Mereditha sprawiły, że strach Orissy rozwiął się szybciej, niż gdyby ktoś próbował ją pocieszać wymijającymi odpowiedziami.

Uspokojona, wyślizgnęła się spod jego ramienia i energicznymi ruchami zaczęła spinać włosy w kok. Tymczasem major podszedł do wylotu jaskini, przejrzał jeszcze raz papiery, które zabrał Tadżykowi, po czym schował je do kieszeni swojego płaszcza i w końcu pomógł jej zakręcić turban na głowie.

- Nie za mocno ściskam pani włosy? - zapytał uśmiechając się.

- Nie.

Orissa miała wrażenie, jakby rozmawiali i zachowywali się niczym długoletnie małżeństwo, nieskrępowane i świadome swoich wad oraz zalet.

Gdy tylko zapadł znów zmierzch, wyruszyli w dalszą drogę. Posuwali się uparcie naprzód, lecz ich wędrówka była znacznie uciążliwsza. Zmęczenie potęgowało ból w nogach Orissy przy każdym stąpieniu, a zniszczone onuce nie grzały ani nie chroniły jej kolan i stóp przed zranieniem. Patrząc jednak na rozwiany na lodowatym wietrze płaszcz majora i podziwiając jego wytrzymałość, zapominała o swoim cierpieniu i odważnie kroczyła za nim w ciemnościach.

Kolejnej nocy major Meredith nie zezwolił jej na żaden odpoczynek. Szedł tak szybko, że była zmuszona niemal biec, żeby nie stracić z oczu jego trzepocącego na wietrze płaszcza. Było przenikliwie zimno. Pięli się stromymi grzbietami gór, nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo stoczenia się w przepaść. Orissa z zamierającym ze strachu sercem podążała za majorem, usiłując nie dostrzegać czarnych czeluści ziejących po obu stronach ścieżki. Miała ogromną ochotę zatrzymać się nagle i oznajmić mu, że

nie ruszy się z miejsca. Był to za duży wysiłek nawet dla niejednego mężczyzny, a co dopiero dla nieprzywykłej do takich marszrut, niedoświadczonej kobiety! Duma jednak nie pozwalała jej tego uczynić. Wpatrując się w migające przed nią bose stopy majora, posuwała się naprzód bez słowa skargi.

- Uwaga, wysoki kamień! Rozpadlina przed panią! Stopy do środka przy schodzeniu! - słyszała co chwila głośne komendy, które padały z jego ust.

Stosowała się posłusznie do tych poleceń, lecz złość, a nawet nienawiść przepełniała jej serce, kiedy uświadamiała sobie, że major wydaje jej rozkazy, jakby była żołnierzem pod jego komendą.

Mimo że prawie biegła za nim, przejmujący chłód sprawił, iż nie czuła palców u rąk. Wkrótce całe jej ciało zaczęło sztywnieć z zimna i momentami traciła poczucie rzeczywistości. Czuła, że dłużej nie dotrzyma mu kroku. „Niech sobie idzie dalej beze mnie!” - pomyślała zrozpaczona, nie wydając jednak żadnego głosu skargi. „To nie ma sensu! Ja już nie daję rady! Nie mogę iść! Nie mogę!”

W tej samej chwili major Meredith nieoczekiwanie zatrzymał się i odwrócił się do niej twarzą, jakby usłyszał jej słowa jakimś szóstym zmysłem. Przez moment patrzył w milczeniu na jej przepiękne bólem oczy, po czym uniósł ją na rękę i bez słowa ruszył przed siebie. Orissa chciała zaprotestować, lecz słabość nie pozwoliła jej przemówić. Była zziębnięta i zupełnie wyczerpana. Zrezygnowana oparła głowę na ramieniu majora, zamknęła oczy i pogrążyła się w nieświadomości...

Leżąc z zamkniętymi oczami, Orissa rozkoszowała się ciepłem i ciszą, którą naruszało jedynie głośne tykanie zegara. Była szczęśliwa, jakby znów znalazła się w rodzinnym domu z lat dzieciństwa. Odetchnęła głęboko z ulgą i nagle uświadomiła sobie, że jej głowa nie spoczywa na poduszce.

Otworzyła oczy jak rażona piorunem. Wokół panowały absolutne ciemności, lecz w jednej chwili zdała sobie sprawę, że jej policzek opiera się o nagą pierś majora Mereditha, ciepło zaś, którym tak się cieszyła, jest ciepłem jego obnażonego ciała, a głośny zegar jest jego bijącym sercem. Leżała przytulona do niego jak małe dziecko pod obszernym płaszczem, który skrył ich oboje! Wbrew swoim oczekiwaniom nie była tym odkryciem zaskoczona, przeciwnie, czuła się cudownie bezpieczna i szczęśliwa w ramionach majora. Olśniła ją nagle oczywista, wspaniała prawda, jakby z nieba spadł nieoczekiwanie oślepiający meteor, który wstrząsnął całym jej jestestwem: kochała majora Mereditha i nic więcej nie miało w tym momencie znaczenia!

Zamknęła znów oczy, po czym z niepojętą radością w sercu pozwoliła, by jeszcze raz ogarnął ją sen...

Kiedy obudziła się ponownie, wydawało jej się, że minęły całe wieki. Nie otwierając oczu, z rozkoszą wyczuwała na twarzy ciepłe podmuchy wiatru, który niósł rozgrzane słońcem powietrze. Była zażenowana tym, że spędziła resztę nocy u boku majora w tak niezwykły sposób i wołała udawać, że nadal śpi.

Po kilku minutach major delikatnie uwolnił ją z uścisku i ostrożnie ułożył jej głowę na piachu. Orissa usłyszała jego ciche kroki na żwirze, a gdy umilkły, domyśliła się, że została sama. Niepewnie otworzyła oczy. Znajdowała się w kolejnej jaskini, tym razem bardzo dużej. „Nie mam prawa go kochać!” - westchnęła w duszy. „Jestem dla niego źródłem kłopotów i nieustannej irytacji”.

Czuła, że pocałunek, którym major obdarzył ją na „Dorundzie” był nic nie znaczącym epizodem w jego życiu. Zapragnęła nagle wyglądać dla niego najpiękniej jak potrafiła, ale było to w tym momencie nieziszczalne marzenie. Musiała przypominać teraz ulicznego łachmaniarza. Poza tym nawet gdyby miała na sobie najgustowniejszy strój, major i tak nie zwróciłby na nią uwagi. Miała wrażenie, że nie jest kobietą w jego typie. Większość mężczyzn, którzy często ryzykują życiem, woli stworzyć sobie dom z cichymi, słabymi i potulnymi partnerkami, zapatrzonymi w swych mężów jak w obraz.

Major Meredith wrócił do groty i serce Orissy забиło mocniej. Kochała go bez względu na to, jakim był. „Może sobie być nietaktowny, niemiły, może się złościć, krzyczeć na mnie czy zabijać ludzi na moich oczach, a ja i tak będę kochała go nadal!” - przemknęło jej przez głowę. Wiedziała, że jej uczucie do niego nie było dziewczęcym kaprysem ani fascynacją dojrzewającej kobiety, lecz prawdziwą miłością. „Kocham, cię! Kocham!” chciała wykrzyknąć radośnie, ale zamiast tego wyszeptała nieswoim głosem:

- Czy... dużo przeszliśmy w nocy?

- Całkiem spory kawałek - odrzekł. - Jesteśmy znów w górach, które ciągną się wzdłuż drogi do Peszawaru i mam nadzieję, że najgorsze jest już za nami.

Orissa zerknęła rozpromienionymi oczami na jego twarz, po czym szybko je spuściła, mówiąc:

- Przykro mi... że... musiał mnie pan jeszcze raz dźwigać, ale... byłam zupełnie wyczerpana i... przemarznięta...

Czuła, że jej policzki mimowolnie czerwienią się na wspomnienie sposobu, w jaki major rozgrzewał ją. Łudziła się jednak, że mazidło, którym była wysmarowana, skrywa przed nim ten rumieniec.

- Za dużo od pani wymagałem - przyznał. - Byłem okrutny, ale inaczej nie zmusiłbym pani do marszu.

- Czy... zawiódł się pan na mnie...? - zapytała nagle szeptem, wstrzymując oddech.

- Niepodobnego! - odparł jakby rozdrażniony. - Żadna inna kobieta nie dokonałaby tego co pani!

Orissa nie śmiała spojrzeć na majora, lecz nie posiadała się z radości, słysząc te słowa. Był to najwspanialszy komplement, jakim kiedykolwiek została obdarzona!

- Przepraszam... - dobiegł ją nieoczekiwanie jego głos, który zabrzmiał łagodniej. - Powinna pani teraz coś zjeść. Wprawdzie niewiele zostało nam prowiantu, ale chyba wystarczy do końca drogi.

Orissa wmusiła w siebie czerstwe ćapati i garść nieświeżego ryżu, czując, że prawie wcale nie zaspokoila głodu.

Po skończonym posiłku major poprowadził ją do wyjścia z jaskini.

- Tam w dole pasie się stado owiec - powiedział, wskazując na polanę po przeciwnej stronie doliny. - Pilnuje go pastuch. Zdecydowałem jednak, że zaryzykujemy i wyruszymy przed zapadnięciem zmierzchu, dlatego musimy znów iść szybko, żeby jak najprędzej zniknąć z jego pola widzenia.

- Czy to rozsądne tak ryzykować? - zaniepokoiła się.

- Nie możemy się już kierować rozsądkiem! - odparł stanowczo. - Bez względu na ryzyko musimy dotrzeć najszybciej jak można do Peszawaru! Fort może być lada moment zaatakowany!

Orissa poczuła nagle wyrzuty sumienia, że prawie zapomniała o niebezpieczeństwie grożącym jej wujowi i ludziom przebywającym w Shubie.

- Tak, to prawda, nie możemy tracić czasu! - powiedziała z przekonaniem, przejęta wizją zniszczonego fortu i śmierci setek ludzki.

Wyruszyli więc w dalszą drogę późnym popołudniem, kiedy upał nieco zmalął. Gruby, wełniany koc, który w nocy chronił Orissę przed zimnem, stał się teraz ciężki jak ołów, parząc niemiłosiernie jej ciało. Pragnęła zdjąć również turban, spod którego obficie spływał na jej plecy pot, lecz wiedziała, że major Meredith nie pozwoli jej na to. Nie było też czasu, by zdjąć onuce, z których pozostały jedynie strzępy, i sznurek, drażniące jej podrapane do krwi łydki. W uszach dźwięczały jej jednak słowa pochwały, i dzielnie, bez słowa skargi posuwała się naprzód.

Kończyli właśnie okrążyć wysoką górę, u stóp której wił się rwący potok, kiedy major idący przed Orissą zatrzymał się tak gwałtownie, że niemal wpadła na niego. Zaciekawiona stanęła obok i zamarła z przerażenia. Przed

nimi na ścieżce, którą podążali, znajdowały się setki mężczyzn. Maszerowali jeden za drugim w ich stronę w odległości dwóch, trzech mil w dole u podnóża góry.

- Kim są? - chciała zapytać, ale major Meredith, chwytając ją za rękę, szybko skrył się za występem skalnym, zza którego wyrżał po chwili, by z uwagą obserwować nadchodzących mężczyzn.

Orissa spostrzegła nagle z radością, że są ubrani w mundury, a na ich głowach widnieją czapki, które rozpoznała w mgnieniu oka! W tym samym momencie major Meredith cicho westchnął z ulgą. Byli ocaleni i Shuba także! Zbliżający się do nich mężczyźni byli bowiem Gurkhami: niskimi, niepozornymi, lecz walecznymi i doskonale poruszającymi się po górach żołnierzami z Nepalu, którzy stali po stronie Brytyjczyków.

Rozdział dziewiąty

Orissa spacerowała po ogrodzie. Słońce połyskiwało na jej czarnych włosach. Wciąż nie umiała przyzwycząć się do nieobecności majora Mereditha. Po ich szczęśliwym dotarciu do Peszawaru, zniknął bez śladu. Nie widziała go ani nie miała o nim żadnych wiadomości od długiego czasu.

Kiedy na zboczu górskim, którym podążali do Peszawaru, napotkali Gurkhów, major Meredith przedstawił ich dowódcom sytuację w Shubie. Żołnierze wyruszyli więc dalej dokładnie poinformowani o rozmieszczeniu sił nieprzyjaciela wokół fortu, a Orissa i major zeszli na szeroką i bezpieczną teraz drogę prowadzącą wprost do Peszawaru. Nie śpieszyli się i mogli zrzucić z siebie ciężkie ubrania. Po drodze natknęli się na brytyjskie wozy wojskowe, które przywiozły kolejne oddziały Gurkhów. Miały one podążać w kierunku granicy południowym pasmem gór.

- Ciekawe, kto wpadł na pomysł, żeby wysłać z odsieczą Gurkhów? - zainteresowała się Orissa.

- Tak się złożyło, że wiedziałem, iż ich bataliony stacjonują niedaleko Peszawaru - odpowiedział major, uśmiechając się tajemniczo.

Nie mieli okazji, by rozmawiać swobodnie w drodze do Peszawaru. Jechali bowiem na jednym z wozów wojskowych, które wracały do miasta. Orissa miała teraz na sobie żołnierski płaszcz, który skrywał ją całą łącznie z obnażonymi nogami. Była świadoma, że w tym stroju wygląda jeszcze bardziej niezwykle niż w poprzednim przebraniu, dlatego z ulgą przyjęła wiadomość, że dotrą do Peszawaru po zapadnięciu zmierzchu. Major Meredith również zmienił swój wygląd. Zdjął z głowy perukę i przyodział się w wojskowy, za ciasny na niego mundur Gurkha.

Gdy znaleźli się w końcu w Peszawarze, powierzył Orissę opiece żony jednego z oficerów brytyjskich.

- Proszę ją dobrze nakarmić i pozwolić jej wypocząć! - wydał polecenie kobiecie.

Orissa spała kamiennym snem prawie do południa następnego dnia, a obudzwszy się, dowiedziała się, że major Meredith nie pojawił się od poprzedniego wieczora. Nie miała pojęcia, co się z nim dzieje: czy wrócił na front, by walczyć z przeciwnikiem, czy też jest w sztabie któregoś z dowódców, przekazując zdobyte po drodze tajne informacje.

Na drugi dzień Orissa została odesłana na południe do Lahore, gdzie zamieszkała w kwaterach brytyjskiego dowództwa. Było to miasto jej szczęśliwego dzieciństwa. Spędziła tam kilka lat wraz z matką i ojcem i każdy

zakątek przypominał jej minione chwile. Radość z możliwości przebywania w Lahore nie potrafiła jednak stłumić jej niepokoju o majora Mereditha. Wstydziła się wypytywać o niego wprost i musiała się zadowolić informacjami dotyczącymi jej wuja oraz sytuacji w Shubie. Dowiedziała się, że Gurkhowie dotarli na czas w okolice fortu i wyparli wrogie plemiona poza granicę z Afganistanem. Fort został wzmocniony oraz wyposażony w dodatkowe działa, a pułkownik Hobart miał się dobrze.

W Uście, który Orissa otrzymała od niego po kilku dniach pobytu w Lahore, wychwalał jej odwagę i obiecywał, że być może wkrótce zobaczą się znów. Pułkownik Henry Hobart miał bowiem powrócić po zakończeniu swojej misji w Shubie właśnie do Lahore, by zamieszkać tu na dłużej. Orissa nie była pewna, czy podoła obowiązkowi gospodyni i z uwagą podpatrywała żony wojskowych, które zapraszały ją do swoich domów.

Mijające w spokoju dni naruszyło nieoczekiwane zaproszenie, które otrzymała od pułkownika Lawrence'a dowodzącego pułkiem Bengalskich Lansjerów. Zaproszenie było podpisane przez jego żonę. Państwo Lawrence przebywali na urlopie w swoim letnim domu u podnóża Himalajów i chętnie widzieliby ją jako swego gościa. Ta niespodziewana propozycja podsunęła Orissie myśl, że może kryje się za tym inicjatywa majora Mereditha. Bez wahania przyjęła więc zaproszenie z nadzieją w sercu, że major będzie czekać na nią w domu swego dowódcy.

Niestety, rozczarowała się. Była jedynym gościem państwa Lawrence, a senna atmosfera ich letniego domu stała się dla niej wkrótce nie do zniesienia. Pragnęła dowiedzieć się czegoś o majorze, lecz teraz była jeszcze bardziej oddalona od wszelkich źródeł informacji.

Na domiar złego podczas jednej z rozmów z panią Lawrence nieopatrznie wspomniała nazwisko Mereditha i usłyszała wiadomość, która bardzo ją zasmuciła.

- Jestem przekonana, że major Meredith otrzyma jakieś odznaczenie. Powinno się przecież uhonorować jego odwagę i to, czego dokonał dla ocalenia Shuby - zauważyła nieoczekiwanie pułkownikowa.

- Odznaczony? - zaciekała się Orissa.

- Tak, może w końcu doczeka się jakiegoś wyróżnienia. Zasluguje na nie od dawna, ale ci, którzy biorą udział w „Wielkiej Grze”, rzadko są honorowani. Sama pani rozumie, moja droga, rozgłos nie pomaga w konspiracji.

Orissa milczała, a pani Lawrence ciągnęła z przejęciem:

- Mój mąż jest pełen uznania oraz podziwu dla majora Mereditha. Uważa, że byłaby to prawdziwa tragedia, gdyby major musiał opuścić Indie na zawsze.

- Dlaczego... miałyby... wyjechać z Indii? - Orissie z trudem przeszły przez gardło te słowa.

- Jego ojciec, lord Croome, jest ciężko chory - odrzekła pani Lawrence. - Jeżeli umrze, major odziedziczy po nim tytuł. Prawdopodobnie zrezygnuje wówczas ze służby w wojsku i zamieszka w Londynie.

Wiadomość ta zmroziła serce Orissy. Czyżby nigdy więcej miała nie ujrzeć majora Mereditha? Z rozpaczą pomyślała, że oto ich drogi nagle rozeszły się, jakby los nigdy nie zamierzał połączyć ich ze sobą. Do tej pory cały czas wierzyła w głębi serca, że major Meredith pozostanie przy niej na zawsze. Okazało się jednak, że było to tylko złudzenie. Nieoczekiwanie rozdzieliła ich przepaść nie do przebycia i Orissa jeszcze raz zadała sobie pytanie, czy w ogóle kiedykolwiek znaczyła coś dla majora. Przecież najpierw pogardzał nią, potem mylnie osądzając próbował wykorzystać, aż w końcu stała się dla niego ciężarem, którego z pewnością pozbył się z lekkim sercem.

Przechadzając się teraz po ogrodzie otaczającym letni dom pułkownika Lawrence'a, Orissa skierowała się znów w ustronny zakątek, gdzie mogła w ciszy i samotności oddać się rozmyślaniom. Nie potrafiła cieszyć się pięknem kwiatów i roztaczającego się wokół niej krajobrazu. Usiadła zrezygnowana na małej ławce przy posągu tańczącego Kriszny i spojrzawszy na jego radosną twarz, odniosła wrażenie, że usta mosiężnej figurki uśmiechają się do niej drwiąco, jakby mówiły jej, że nigdy nie zazna ani szczęścia, ani miłości, które uosabiał.

- Przepraszam, lady Fané - usłyszała nieoczekiwanie męski głos nad swoją głową. - Przyniosłem list dla pani od pułkownika Hobarta.

Obok Orissy stał kapitan Radhi, który zajmował się pocztą pułkownika Lawrence'a.

- Dziękuję - uśmiechnęła się i nie mogąc się powstrzymać, zadała mu pytanie, które bez przerwy cisnęło się na jej usta: - Czy są jakieś wieści o majorze Meredithzie?

Kapitan zawahał się, po czym odpowiedział nieswoim głosem:

- W Peszawarze mówi się o tym, że... został zabity...

Orissa zamarła z przerażenia.

- Ale to tylko plotki, lady Fane! - zapewnił ją pośpiesznie kapitan Radhi. - Wierzę, że major zjawi się jak zwykle w najmniej oczekiwanym momencie i wszystkich nas zadziwi nowym wyczynem!

Powiedziawszy to, kapitan natychmiast oddalił się, zostawiając Orissę samą.

To był koniec wszystkiego! Stało się to, czego zawsze najbardziej się obawiała! Ileż razy budziła się w nocy w ciemnościach ze strachem, jakby przeczuwała nieszczęście. Wypełniła ją nagle pustka nie do zniesienia. Nie chciała dłużej żyć. Spojrzała z błagalną prośbą w oczach na tańczącego Krisznę.

- Pomóż mi go odnaleźć! - szepnęła i gorące łzy potoczyły się po jej policzkach.

Przez chwilę wydawało się jej, że twarz posągu rozjaśnia się uśmiechem, przyjaznym i radosnym.

Zamknęła mocno oczy, modląc się w duszy...

- Cóż to, płaczemy? - usłyszała nieoczekiwanie niski głos za plecami. - Nigdy jeszcze nie widziałem pani płaczącej, Orisso!

Orissa zerwała się na równe nogi i odwróciła się. Była pewna, że śni na jawie! Za nią stał major Meredith. Był w mundurze, lecz bez nakrycia głowy, a jego stalowoszare oczy wpatrywały się w nią przenikliwie.

- Żyjesz! Żyjesz! - wykrzyknęła, podbiegając do niego i instynktownie lgnąc do jego piersi.

Objął ją ramieniem, po czym przytulił do siebie czule. Orissie wydawało się, że nagle znalazła się w niebie. Zanim mogła pozbierać myśli, usta majora spoczęły na jej wargach. Jego pocałunek był teraz bardziej uduchowiony i płomienny niż na pokładzie „Dorundy”. Poczuła ciepło jego ust na całej twarzy zalanej łzami i świat jakby przestał dla niej istnieć. Liczył się tylko on...

Kiedy w końcu mogła mówić, spojrzała na niego rozpromienionymi oczami i wyszeptała:

- Powiedzieli mi... że... nie żyjesz!

- Wybacz mi, najdroższa! Nie zamierzałem cię martwić.

Orissa zeszywniała w jego ramionach.

- To znaczy, że... poprosiłeś kapitana, żeby mnie... okłamał?

- Tak - uśmiechnął się swoim ironicznym uśmiechem, który tak dobrze znała.

- Jak mogłeś?!

- Musisz mi wybaczyć!

- Ale dlaczego? Dlaczego zachowałeś się w tak okrutny sposób?

- Przyznaję, że postąpiłem okrutnie - powiedział poważniejąc. - Jednak inaczej nigdy nie wyznalibyśmy sobie tego, co czujemy od dawna, a ja nie miałbym pewności, czy mnie kochasz na tyle silnie, by...

- Dokończ... - szepnęła.

- Zostać moją żoną! Natychmiast! W tej chwili!

Oczy Orissy stały się ogromne ze zdumienia.

- Nie dziw się, ukochana - uśmiechnął się. - Ten niezwykle pośpiech dyktuje mi zarówno miłość do ciebie, jak i przykra konieczność. Muszę jak najprędzej wracać do Londynu. Mój ojciec nie żyje.

- Przykro mi...

- Cierpiał od dawna i modlił się o swoją śmierć. To był niezwykle człowiek. Wiedział, że wkrótce umrze, jednak nie chciał nikogo zdręzczać swoją chorobą i nie mógł znieść myśli o opłakiwaniu go za życia. Właśnie dlatego kazał mi tak nagle wyruszyć w podróż do Indii i... dlatego znalazłem się na pokładzie „Dorundy” razem z tobą...

- Więc... opuszczasz Indie? Orissa z trudem wymówiła te słowa.

- Na bardzo krótko, najdroższa - odrzekł - lecz nie zamierzam zostawić cię tu samej!

- Naprawdę chcesz mnie zabrać ze sobą...?

- Nawet nie wiesz jak bardzo! Muszę mieć cię blisko siebie! Nigdy niczego nie pragnąłem bardziej od ciebie. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że zgodzisz się na to, co ci proponuję.

- Zrobię, co mi każesz, tylko nie opuszczaj mnie...! - szepnęła namiętnie.

- To właśnie pragnąłem usłyszeć - rzekł. - Wybacz mi, ukochana, że zachowałem się tak okrutnie wobec ciebie, ale to był jedyny sposób, byś została moją żoną jeszcze dzisiaj. Po ślubie będziemy mieć tylko tydzień czasu dla siebie, a potem wyruszamy do Londynu.

Przez twarz Orissy przemknął cięń na myśl o powrocie do Anglii.

- Obiecuję, najdroższa, że zawitamy tam na bardzo krótko - zapewnił ją szybko. - Niebawem bowiem zacznę pełnić nową funkcję w Indiach.

- Jaką?

- Królowa zamierza uczynić mnie namiestnikiem północno-zachodnich prowincji.

Orissa wstrzymała oddech z wrażenia.

- Czy to cię cieszy, moja najukochańsza?

- Dobrze wiesz, że niczego bardziej nie pragnę, niż być blisko ciebie... i... spędzić życie w Indiach... - szepnęła.

Orissa stała na tarasie, podziwiając ogród oświetlony promieniami zachodzącego słońca. Ciepłe powietrze wypełniał zapach kwiatów i niepowtarzalny śpiew ptaków. Parterowy domek, który Myron Meredith wynajął do końca ich pobytu w Indiach, otaczały krzewy rododendronów i orchidei, a jego wnętrze urządzone było elegancko, a zarazem przytulnie. Miała na sobie sari w kolorze turkusowym, ozdobione srebrną nitką i perłami. Na jej szyi wisiał naszyjnik z turkusów i diamentów, a palec lewej ręki zdobił pierścionek z ogromnym turkusem, który w Indiach uważany jest za kamień przynoszący szczęście. Były to prezenty ślubne od jej męża.

Pobrali się w małej kaplicy znajdującej się w sąsiedztwie domu państwa Lawrence. Pułkownik z żoną byli jedynymi świadkami ceremonii ślubnej, po której Orissa i Meron Meredith wyruszyli małym powozem do domu, w którym mieli spędzić miodowy tydzień. Zmierzając wolno do celu, mijali okolice, które stawały się z każdą chwilą piękniejsze. Za każdym zakrętem i wzniesieniem oczy Orissy napotykały zachwycające, rajske pejzaże.

Jechała u boku swego męża zapatrzona przed siebie i nagle świadoma jego obecności, wyszeptała do siebie w uniesieniu:

- Znalazłam prawdziwą miłość... Zostałam żoną wspaniałego mężczyzny i... na zawsze zostanę przy nim!

Teraz, kiedy byli już na miejscu i podziwiała ogród z tarasu, usłyszała jego zbliżające się kroki. Myron Meredith stanął obok niej w milczeniu i zapatrzył się w rozciągający się przed nimi widok.

- Jest tu tak pięknie! Tak niewiarygodnie pięknie! - szepnęła Orissa.

- Ty również jesteś niewiarygodnie piękna... - powiedział cicho. - Zauroczyłaś mnie, Orisso, w chwili, gdy cię ujrzałem.

Spojrzała mu w twarz.

- A jednak gardziłeś mną wówczas! - powiedziała. - Dostrzegłam odrazę w twoich oczach!

- Bez względu na to, co o tobie myślałem, zachwycałaś mnie swoją niezwykłą urodą. Nie mogłem jednak pogodzić się z tym, że zaangażowałaś się w tak niesmaczny romans i nienawidziłem cię za to.

- Mimo to... pocałowałaś mnie...

- Nie umiałem oprzeć się twojemu urokowi - przyznał. - Wydałaś mi się wtedy nieprawdopodobnie piękna, pociągająca i jednocześnie niewinna. Nigdy nie zapomnę tamtej chwili.

- Ani ja... nie wiedziałam, że pocałunek może być tak cudowny...

- Ja również. Od tamtego wieczora stałem się o ciebie szaleńczo zazdrosny. Myśl, że jesteś mężatką, była dla mnie prawdziwą męczarnią!

Orissa roześmiała się cicho, po czym nieśmiało wsunęła dłoń w jego rękę i zapytała:

- Czy... wybaczysz mi to niewinne kłamstwo? Miał zamiar odpowiedzieć jej, lecz nieoczekiwanie pojawił się służący.

- Kolacja gotowa, memsahib! - poinformował Orissę Hindus.

Ze złączonymi dłońmi weszli do jadalni.

Po skończonym posiłku zaczęli dzielić się swoimi przeżyciami i myślami, które skrywali tak długo przed sobą. Rozumieli się doskonale, jakby ich umysły stanowiły jedność. Było wiele tematów, które pragnęli poruszyć i wiele słów, które cisnęły się na usta, jednak w głębi serc wiedzieli, że żadne ze słów nie jest w stanie wyrazić ich uczuć. Momentami milkli zapatrzeni w siebie. W końcu Myron wstał od stołu i objąwszy Orissę ramieniem, poprowadził ją na taras.

Gwiazdy błyszczą już na niebie, a sierp księżyca oświetlał ośnieżone szczyty gór rysujące się w oddali. Wokół panowała niczym nie zmaćona cisza.

- Czy nadal czujesz się samotną, nic nie znaczącą istotą zagubioną we wszechświecie? - zapytał.

- Nie - uśmiechnęła się. - Teraz mam ciebie...

- Jesteś częścią mnie, Orisso, tak jak ja częścią ciebie! Od początku istnienia świata byliśmy sobie przeznaczeni!

- Pan Mahła miał rację, mówiąc, że ludzki los jest zapisany w niebie i nie możemy go zmienić - zauważyła.

- Wcale nie zamierzam tego robić - roześmiał się i czule uniósł palcem brodę Orissy ku sobie.

Przez chwilę wpatrywał się w jej czarne oczy, po czym jego usta znów znalazły się na jej wargach. Ponownie uwięził ją w swoich ramionach. Wiedziała, że już nigdy mu nie ucieknie.

- Kocham cię, Orisso! Jeden Bóg wie, jak bardzo cię kocham! I... pragnę cię, odkąd cię ujrzałem... - usłyszała jego namiętny szept.

- Kiedy mnie pocałowałeś pierwszy raz, uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę szczęśliwa, jeżeli nie będę twoja...

- Nareszcie jesteś moja, Orisso! Moja i nic nas już nie rozłączy.

- Kocham cię... - wyszeptała. - Nie wiedziałam, że jest możliwe takie szczęście!

Ciało Orissy zadrżało w odpowiedzi na kolejny gorący pocałunek Myrona. Czuł, że wzbudził w niej to samo pragnienie, które płonęło w nim od dawna.

- Zawsze będę się troszczył o ciebie, chronił cię i ubóstwiał, Orisso! Będę przy tobie nie tylko w tym życiu, ale w każdym, które nadejdzie... Jesteś jedyna, niepowtarzalna, cudowna...

Mówiąc to, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Wielka biała moskitiera spowijająca łóżko przypominała żagiel utkany z pajęczyny. Postawił Orisnę przy nim i delikatnie zdjął zdobiący ją naszyjnik. Ostrożnie wyjął kwiaty tuberozy i srebrne spinki z jej uczesania. Długie, czarne sploty rozsypały się wokół jej drobnej twarzy i skryły jej ramiona.

Wtulił twarz w jej włosy szepcząc:

- Kiedy trzymałem cię w ramionach w jaskini, zapamiętałem na zawsze ich jaśminowy zapach.

Orissa poczuła subtelny dotyk jego dłoni, które zsunęły z niej sari. Stała teraz spowita jedynie srebrzystym światłem księżyca zagląającego przez okno sypialni, przypominając śnieżnobiały kwiat lotosu. Nie wstydziła się już przenikliwego spojrzenia Merona, który zapatrzył się w nią w zachwycie.

- Czy może być coś piękniejszego od ciebie? - zapytał stłumionym głosem.

- Czy jesteś rzeczywistością, czy może tylko snem, Orisso...?

- Kimkolwiek jestem... na zawsze należę do ciebie... - wyszeptała.

Usta Myrona znów spoczęły na jej wargach, a ich serca połączyły się w miłosnym uniesieniu...